№ 22. Warszawa, dnia 19 (31) Maja 1890 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. **Na Prowincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kopiejek 50, kwartalnie rs 1 kop. 25. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 2 cen. 30. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 2 centów 30. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 3, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 3 pf. 50.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

LEŚNICZY.

OBRAZEK WIEJSKI

PRZEZ

Klemensa Junoszę.

I.

Jesień niekiedy smutna, a niekiedy najpiękniejsza pora roku, tym razem dziwnie jest piękna.

Potroszę liście już więdną, ale dobrotliwe słońce łagodzi im chwile konania, zdejmuje z nich szatę zieleni, a natomiast daje złotą. Róże pospadały z krzewów, ale jaskrawe astry uśmiechają się jeszcze, georginie wspaniałemi kwiatami się pysznią, gdzieniegdzie jabłka się na drzewach rumienią, z rozpiętej na ścianie domu winorośli zwieszają się złote i czarne grona.

Jest najpiękniejsza pora roku, najmilszy czas, zwłaszcza w tym ogrodzie wpół owocowym, wpół dzikim, co się na łagodnej pochyłości wzgórza rozciągnął aż ku rzece.

Na ławce kamiennej, pod jodłą, co jak baldachim gałęzie swoje rozpostarła, siedzi człowiek i szeroko otwartemi oczami patrzy prosto w słońce.

Dziwne oczy! jasne, niebieskie, duże, niby jak zwykłe oczy, ale czegoś im brak. Są nieme. Określenie na pozór niewłaściwe, ale mówi prawdę. Te oczy milczą, nie zdradzają ani zachwytu, ani ożywienia, ani troski, są bez wyrazu, jak martwe.

I naprawdę martwe; patrzą w słońce bezkarnie i znoszą jego blaski bez mrugnięcia, bez spuszczenia powiek. Podobno orły to potrafią, ale te oczy nie są orle, to ludzkie źrenice, tylko nieszczęśliwe i martwe.

Obojętna jest im ciemność nocy i blask dnia, umarło dla nich piękno i brzydota, zniknęły barwy.

To są oczy nieżywe w człowieku żyjącym.

Umarły one przed laty siedmioma i kto wie, jak długo jeszcze poruszać się będą w ciemnicy, bo człowiek do którego należą jest w pełni wieku i sił.

Wśród długich, ciemno blond włosów, gdzieniegdzie przewija się ledwie dostrzegalna nitka siwizny, twarz o rysach regularnych i pięknych, jest czerstwa, długa jedwabista broda dodaje jej pewnego wdzięku i powagi.

Obok niego dziewczka siedzi, dziecko raczej; także ma oczy jasne, niebieskie i duże, ale jakież inne! Tamte w słońce patrzą, te się pod cień rzęs prześlicznych kryją, a gdy otworzą się, gdy spojrzą, to tyle życia, tyle wyrazu, tyle wdzięków i blasków w sobie mieszczą, że w nie, równie jak w słońce, długo wpatrywać się nie można!

Ładnie zarysowana główka, o klasycznym profilu, dźwiga warkocz jasny, bogaty, ciężki; na białych policzkach rumieniec barwy polnej róży jaśnieje. Lekka sukienka biała uwydatnia rozwijać się zaczynające kształty, a z pod niej wychyla się nóżka zgrabna, maleńka.

Niewidomy posuwa ręką po ławce, poruszając palcami; w ruchu tym natrafił na książkę.

— Masz do czytania co? — spytał.

— Tak, ojczulku.

— Gdzie my jesteśmy, Anielciu?

— W ogrodzie, pod jodłą, gdzie ojczulek tak lubi siadywać...

— To dobrze. Wszak słońce jeszcze świeci?

— Świeci, ojczulku...

— Ja to czuję... a szmer, który do uszu moich dochodzi, to jest szmer rzeki, prawda?

— Tak, ojczulku, rzeka zawsze szemrze, a tu szczególniej, bo brzeg płaski, a na nim mnóstwo kamyków i muszli.

— Czy ty jeszcze, Anielciu, zbierasz muszle jak dawniej?

— Nie. Robiłam to będąc dzieckiem, ale teraz, gdy jestem już panną dorosłą...

— Ty dorosłą panną! — rzekł z uśmiechem — któż ci to powiedział?

— Ciocia.

— A czy ty ładna jesteś, Anielciu?

— Nie wiem — odrzekła, oczy spuszczając — ciocia mówi, że jestem bardzo podobna do nieboszczki mamy.

— O! w takim razie jesteś niezwykle piękna, ale ja już urody twojej nigdy nie zobaczę... Jakie książki przyniosłaś z sobą?

— Te trzy, które leżały na stoliku, przy łóżku ojczulka.

— Pismo święte, Skarga i Mickiewicz. Otwórz którąkolwiek i przeczytaj mi co chcesz.

— Ale którą?

— Którąkolwiek i gdzie się otworzy.

Dziewczka poezye wzięła i zaczęła czytać dźwięcznym głosem:

„Myślałam sobie: gdyby to skowronki,
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z niemi—i tylko z tej góry,
Chciałabym jeden mały kwiat wziąć z sobą,
Kwiat niezabudki, a potem, za chmury
Lecieć wysoko, wysoko... i zniknąć.” —

— Przestań że dziecko, i nie strasz mnie.

— Czem, ojcze?

— Czem? tem, że mi słońce po raz trzeci zagaśnie.

— Ja nie rozumiem, co ojczulek mówi.

— Raz mi zagasło, gdy matka twoja umarła, drugi raz, gdym wzrok utracił, a trzeci raz zagaśnie ono już ostatecznie, gdy mi i ciebie zabiorą.

— Mnie? a któż ma prawo oddalić mnie od ojca?

— Dziecko jesteś. Będą takie ptaszki, co ci dadzą ze swych skrzydełek po piórku i uniosą. Nie, Anielciu! ty mi nie czytaj poezyi, jestem dziś rozstrojony i smutny... Ciężkie myśli mnie trapią, noc przepędziłem bezsennie. Pokrzep mnie, weź Pismo święte. Czytaj gdzie się księga otworzy.

Dziewczyna znowu czytać zaczęła:

„Jako sługa pragnie cienia, a jako najemnik czeka końca pracy swojej, takem ja, prawem dziedzicznem wziął miesiące próżne, a noce bezsenne są mi naznaczone.

„Układę-li się, tedy mówię: kiedyż wstanę? i pełen bywam myślenia, aż do świtania.

„Dni moje prędsze są niż czółnek tkacki i strawione są bez nadziei.

„Wspomnij o Panie, że wiatrem jest żywot mój, i nie wróci się oko moje, aby widziało rzeczy dobre.”

— Ojczulku! — zawołała, składając książkę — ja tego czytać nie mogę, to zanadto smutne i bolesne.

— To skargi i żale nieszczęśliwego Hioba. Nie czytaj, kochanie, jeśli przykrość ci sprawiają. Pocałuj mnie, Anielciu.

Wzięła jego rękę i przycisnęła do ust.

— Nie, jedyna, ty mnie w czoło pocałuj, w oczy zagasłe... moje ty słońce!

Rzuciła mu się na szyję i obsypała go pieszczotami, on rączkę jej wziął i do czoła, a potem do ust przytulił.

— Przeszedłbym się — rzekł, wstając z ławki.

— A dokąd ojczulek iść pragnie?

— Prowadź nad rzekę, pójdziemy brzegiem po piasku; pamiętam, że dawniej ten brzeg piaszczysty był.

— Jest i teraz taki, ale już zmienił się dużo. Część lądu woda zabrała, a w jednem miejscu, gdzie było bardzo płytko, teraz głębina.

— A ja chciałem onegdaj puścić się sam nad rzekę.

— Niech ojczulek nie robi tego nigdy, nigdy! — zawołała z przerażeniem — niech mi to ojczulek przyrzeknie.

— Dobrze, dobrze, wiesz, że cię zawsze słucham Nikt mi tak nie dogodzi jak ty, nikt mi tak nie potrafi uprzyjemnić chwil gorzkich. Prowadź nad rzekę, Anielciu, ja bardzo lubię jej szmer.

Dziewczynka wzięła ojca pod rękę i poszli.

— Powiedz mi co? — rzekł niewidomy.

— Ale co?

— Co chcesz... co się w domu dzieje? bo ja z nikim dziś nie mówiłem, oprócz z tobą, nawet pan Hieronim odwiedzić mnie nie raczył.

— Wuj Hieronim, ojczulku, skoro świt pojechał.

— Dokąd? po co?

— Nie wiem, zdaje się, że do miasta.

— A któż przy gospodarstwie?

— Grzelewicz ekonom, karbowy.

— Powiedz mi, Anielciu—rzekł, zatrzymując się nagle — już dużą panienką jesteś, więc może się poznasz na tem, powiedz mi szczerze, co się u nas dzieje? bo ja mam przeczucie, że źle, że mnie oszukują, zwodzą, że każdy przedemną prawdę ukrywa. Oni tu źle rządzą, a co gorsza kłamią przedemną. Siostra chce mi oszczędzić zmartwień i dlatego milczy, pan Hieronim, choć brat cioteczny, ale kręci, nawet bez wielkich ceremonii, dziś mówi tak, jutro inaczej. Kaliński człowiek uczciwy, ale nie widuję go wcale, od czasu jak osadzili go w lesie. Słyszę, że często ktoś przyjeżdża, że odbywają się jakieś szepty, narady. Co to jest?... Moja Anielciu, obawa mnie męczy, sypiać nie mogę, głowę mam nabitą najsmutniejszemi myślami, wyprowadź mnie z niepewności tej, oświeć mnie duszko.

Dziewczyna westchnęła:

— Mój ojczulku — rzekła — cóż poradzę? ja się na niczem nieznam, o żadnych interesach nie wiem, a wuj Hieronim prawie nigdy ze mną nie rozmawia. Jedyna rzecz jaką zrobić mogę, to chyba pana Kalińskiego ojczulkowi sprowadzę... tylko nie wiem jak to wykonać. Jego tu nie lubią, nie puszczają go i kto wie, czyby się go dawno nie pozbyli, gdyby nie ojczulek. Już mam sposób! — zawołała radośnie. — Ciocia pozwala mi czasem jeździć na spacer maleńkim wolańcikiem i powozić samej. Pojadę na Leśniczówkę i pana Kalińskiego poproszę.

— Nie, kochaneczko, ja mam lepszy sposób, pojedziemy do niego jutro razem, ja z tobą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DO...

Nie patrz ty na mnie tak słodko, mile,
Dziewczyno, jak motyl płocha,
Bom przekląć gotów później tę chwilę,
Gdy cię me serce ukocha.

Nie ściskaj ręki mej w swojej dłoni
Z tą serdecznością kłamaną,
Bo cię sumienia wyrzut dogoni
Bodaj za morskich wód pianą.

I nie mów do mnie: „że życia droga —
To miłość” — słowy drżącemi,
Bom modlę gotów posłać do Boga,
Byś żyła łzami mojemi!...

Wiktor Dzierżanowski.

Z PAMIĘTNIKÓW PODRÓŻY

odbytej przez

panią Durand Fardel

do Shanghai i Jeddo.

LIST DZIESIĄTY.

Powietrze bardzo się już ociepliło, więc i ochota do spacerów i wycieczek większa.

Jedną z największych przyjemności w tym kraju, są wycieczki na polowanie w tak zwanych *house-brats*. Każdy zamożniejszy Europejczyk musi mieć własny *house-brat*, to jest statek, na którym można zrobić wyprawę trwającą dziesięć dni do dwóch tygodni. Są to małe statki parowe, lub żaglowe, z salonikiem, sypialnemi kajutami i t. d., jednem słowem całkowity domek, urządzony z przepychem. Cała rodzina z kucharzami i służbą siada na statek i płynie w górę rzeki przez kilka lub kilkanaście dni, kiedy się przypływa do miejsca, gdzie polowanie może być przyjemne, panowie wysiadają na ląd i robią wycieczkę, obfitującą zazwyczaj w łupy, poczem wracają na statek i płyną dalej. Tylko często zmuszeni są dzielić się zdobyczą z krajowcami, którzy mogliby tragicznie zakończyć wycieczkę dla przyjemności podjętą.

Przez ten czas, panie zabawiają się muzyką, czytają lub robią robótki. Jedyną niedogodność tego rodzaju rozrywki stanowią wielkie koszta, lecz w Shanghai arystokracya to kupcy a handel przynosi tu dużo pieniędzy. Czasami wprawdzie można zdobyć zapalenie płuc, jak się to zdarzyło niedawno włoskiemu konsulowi, który umarł w tych czasach, lecz każda rzecz musi mieć jakieś ale.

Ojciec wasz i ja, zbadawszy trochę grunt tutejszy zaczynamy się emancypować.

Opowiadano nam tu dotąd straszliwe historye, na dowód że niesłychaną lekkomyślnością byłoby zapuszczać się w ulice bez towarzystwa, że chińczycy rzucają kamieniami na europejczyków i t. p. Jednakowoż, wprędce po naszem przybyciu zrobiliśmy taką wyprawę, my, Regina i pan Cordier, jeden z tych nielicznych europejczyków, którzy się zajmują studyowaniem chińskiego języka i literatury, posiadający o tyle ten język, że mógł nam bezpiecznie służyć za przewodnika w tej dziwnej krainie.

Było to w niedzielę, po śniadaniu. Wyruszyliśmy z lekką obawą, pod wpływem słyszanych opowiadań i trochę niepewni, czy zdołamy powrócić bez awantury. Lecz obawa znikła, gdy tylko przebyliśmy pierwszą bramę, wiodącą do chińskiego miasta. Ciekawość ludzi, którzy nas otoczyli, nie miała w sobie ani cienia niechęci, przeciwnie, można było spostrzedz wyraz życzliwości malujący się na ich twarzach. Celem naszej wycieczki był kościół Jezuitów, zbudowany na przedmieściu, zwanem Tonkadro.

Dziwię się jakim sposobem chińczycy pozwolili na tą budowę: ze strony księży jest to dowodem wielkiej odwagi i energii, bo gdyby przyszła krajowcom chęć pozabijania ich, ani jedenby nie uszedł. Lecz istotnie, chińczycy mają w sobie bardzo wiele tolerancyi, należy tylko wystrzegać się przeszkadzania im, a szczególniej zadraśnięcia ich nawyknień. W większej części rozruchów, w których popłynęła krew naszych misyonarzy, nie lud należy winić, tylko rząd, lub miejscowe zarządy, nie mówiąc już o braku przezorności, którego nieraz dali dowody apostołowie naszej wiary, uniesieni zbyteczną gorliwością.

Zatrzymawszy się przez chwilę w skromnym lecz ładnym kościołku, w którym słuchało pobożnie mszy z jakie stu nawróconych chińczyków, mężczyźni po jednej stronie głównej nawy, kobiety po drugiej, i przeszedłszy kilka ulic, poszliśmy do bramy Montauban, gdzie czekały nasze powozy i powróciliśmy zadowoleni z wycieczki, śmiejąc się z próżnych obaw i układając plany nowych podróży.

Od tej pory weszło to nam w zwyczaj. Spotkanie na ulicy małego łobuza chińskiego piętnasto lub szesnastoletniego, który rozumie trochę po francuzku, jest nam wielkiem ułatwieniem w tych wyprawach. Mówi on po francuzku jak murzyni i prowadzi „do dobry sklep". Tam oglądamy i targujemy się. Kupiec chiński jest uprzejmy i nie obraża się proponowaną ceną. Cena której żąda bywa zazwyczaj niedorzeczna, w zamian proponuje mu się również niedorzeczną obniżkę, nie gniewa go to wcale i odpowiada swoim *piggiu.*(*)

— *Pas finished, vous combien?* (nieskończone, wy ile)?

My mu odpowiadamy:

— *No more!* (nic więcej).

On na to odpowiada:

— *Yen a pas!* (nie ma)!

I rozstajemy się w zgodzie, wchodzimy do sąsiedniego sklepu co go wcale nie obraża i często dopiero za czwartą lub piątą bytnością otrzymujemy żądane ustępstwo.

Teraz kiedy już znamy trochę miasto, wychodzimy sami we dwoje z mężem, jesteśmy już tak znani, że kupcy wołają nas do sklepu i pokazują różne osobliwości. Ponieważ ulice są bardzo wązkie a sklepy nie mają wystaw, często rozmawia się z jednego sklepu do drugiego, przez szerokość ulicy: jestem tam już jak u siebie w domu. Ulice są bardzo ludne. Prawie zawsze tworzy się zbiegowisko przed sklepem, w którym jesteśmy, lecz gdy chcemy wychodzić, tłum rozstępuje się przed nami w milczeniu i z pośpiechem.

W Shanghai, tak jak we wszystkich chińskich miastach, jest także mnóstwo dżonek, pokrywających wody rzeki, widać ztąd ich maszty; wybieramy się tam którego dnia na obejrzenie, lecz nie spodziewam się zobaczyć nic ciekawszego jak w Kantonie.

Dowiedzieliśmy się dziś, że nie możemy się spodziewać nadejścia poczty, bo parowcowi pocztowemu zdarzyło się nieszczęście pomiędzy Singapore i Hong-Kong. Na szczęście tylko o listy nasze jesteśmy niespokojni, o nic więcej.

Pomimo wszystkich przykrości jakie się u nas znosi od służby, nie radziłabym jednak nikomu zastąpić jej chińczykami, którzy jeszcze mniej są warci.

Musimy teraz więcej niż zwykle pilnować swoich kluczy, bo rok chiński kończy się w ostatnich dniach Stycznia, a w tym czasie potrzebują oni gwałtownie pieniędzy. Posprzedawaliby jedni drugich gdyby mogli, pod pozorem czynienia ofiar duchom przodków, lecz istotnym powodem jest pragnienie hulanek, palenia opium i innych tym podobnych rozkoszy. Kradną więc wszyscy i kradną wszystko. Nawet kupcy podpalają swoje domy, ażeby nie regulować rachunków. Wczorajszego wieczora w chińskiej dzielnicy położonej na terytoryum francuzkiem, spaliło się dwanaście domów *tylko*, dzięki ratunkowi europejskiej straży ogniowej.

Kiedy zaczyna się pożar, chińczycy myślą tylko o rabunku. Złapano też wczoraj sześćdziesięciu złodziei, których zaraz rano osądzono.

Maks poszedł z nimi do sądu. Byli związani wszyscy razem za warkocze, dwudziestu z nich zostało skazanych na chłostę, od dwudziestu do trzydziestu kijów. Maks będzie asystował tej egzekucyi.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

(*) Mieszanina angielskiego i francuzkiego języka z domieszką chińszczyzny, którą w stosunkach z europejczykami posługują się chińczycy.

(*Przyp. tłom.*)

Bez ostateczności.

(*Artykuł nadesłany.*)

Szanowny Redaktorze!

Pismo dla kobiet powinno być echem wszystkich ich potrzeb, odzwierciadleniem wszelkich racyonalnych żądań, powinno stać na straży niewieścich interesów, które jak dotąd, niestety, bardzo się słabo rozwijają. Wychodząc z tego założenia, pozwalam sobie, Szanowny Redaktorze, przesłać „Tygodnikowi" słów parę w kwestyi, która szerokie grono nasze bliżej obchodzi.

Jeżeli mieszkanka Warszawy znajduje z trudnością pracę produkcyjną, na utrzymanie domu starczącą, to dla nas wieśniaczek, pole zajęć płatnych, dochodowych, zupełnie jest zamkniętem. Z tego też powodu, wszelkie rozprawy i rady, udzielane nam przez tych, którzy zdają się stać na czele ruchu umysłowego emancypacyjnego, nietylko w lot chwytamy, lecz z wdzięcznością przyjmujemy. Czasy są ciężkie, bardzo ciężkie. Ojciec mający na małej wiosce kilkoro dzieci i płacący za edukacyą młodszych w mieście, ma prawo wymagać przecież, by starsze przychodziły mu z pomocą; a zresztą, gdyby tego nawet nie wymagał, samo poczucie obowiązku, myśl by im taką podsunąć musiało. Minęły błogie chwile w których jedynem zadaniem panny, było czekać bezczynnie na konkurenta. Minęły, lecz cóż nam dały w zamian? Czcze tylko szamotanie się i niepewność.

Bo co tu robić? Na jakie, bez środków i pomocy naukowej, rzucić się pole?

Spragnione wskazówki, dla niej właśnie chwytamy gorączkowo wszelkie rozprawy, wychodzące od was, uznanych szermierzy sprawy emancypacyjnej, przesyłane nam z Warszawy, jako „z ogniska światła i wiedzy."

Niestety, ognisko to, nader skąpe rzuca promienie.

Wprawdzie przed rokiem, dowiedziałyśmy się, dzięki „Tygodnikowi" o ankiecie: Czem się ma zająć panna niebogata?

Ani jednak „Kuryer", ani uzupełnienia waszego „Tygodnika" sprawy tej nie rozświetliły dostatecznie. Dziś, nowy jej przyczynek spotykamy w „Przeglądzie Tygodniowym" i rozprawie tej właśnie, chcę jako dobrze z położeniem panien wiejskich obznajmiona, parę uwag poświęcić.

Znana i ceniona autorka, pani Marrenowa, zarzuca nam w powyższym artykule, iż unoszone fałszywą ambicyą, zjeżdżamy hurtownie do miasta, by tu tracić pieniądze na naukę rzemiosła, lub sztuk pięknych, podczas gdy fundusz ten, możnaby stokroć lepiej obrócić, na nakłady w zakresie gospodarstwa kobiecego, na hodowlę nierogacizny, drobiu i t. d.

Prawda, jest w tem wiele pozornej racyi. Rzemiosł jednak, jak: strojów, krawiectwa, uczymy się po to głównie, by w domu wystarczyć samej sobie, nie oglądając się na oddalone i kosztowne magazyny. Temu więc chyba zastosowaniu własnych wiadomości, nie będzie miała szanowna autorka nic do zarzucenia; bo co do obawy, abyśmy nie odbierały w rzemiosłach chleba pannom miejskim, ta nie istnieje chyba. Kto zna choć cokolwiek ducha sfer obywatelskich, ten wie, iż rodzice mający kawał ziemi własnej, nie pozwolą pomimo najcięższych warunków, aby córka ich szła do szewckiego, dajmy na to, terminu w mieście. Zarzut więc, co do lekkomyślnego trwonienia przez nas pieniędzy na naukę rzemiosł, upada; chodzi zatem tylko o to, że się niepotrzebnie uczymy sztuk pięknych.

Tu jednak, niech szanowna autorka pozwoli mi się zapytać, czy chciałaby wygnać na seryo z dworów wiejskich: rysunek, malarstwo, muzykę, śpiew, a z niemi całą powierzchowną chociażby, lecz zawsze uszlachetniającą kulturę prawdy i piękna? Czy pragnęłaby rzeczywiście, aby fundusze na ten cel obracane, rodzice chowali, a gdy panna podrośnie, włożyli je w hodowlę nierogacizny i drobiu, któryby pieniężne przynosił jej dochody? Czy pisząc to z pełną wiedzą szanowna autorka uwzględniła, do czego systemat taki by doprowadził i jakie w zamian musiałby przynieść skutki?

Ej, nie! Wolę już mniemać, iż był to *lapsus linguae*, pomyłka mimowolna. Dwory wiejskie, to do dziś dnia państewka udzielne, z których kobieta króluje obszarom, kraj cały składającym. Odbierzcie polce kulturę umysłową, obniżcie ją, zamiast podwyższać, a zobaczymy, czy mężczyzna zapracowany, sterany kłopotami, nie znalazłszy równoważnika idealnego przy ognisku domowem, zdoła podołać zadaniom cywilizacyjnym, jakich od dworów tych wymagacie.

Zamiast muzyki, malarstwa, poezyi, czyli sztuk, jak się wyraża pani Marrenowa, i złączonego z niemi wyższego wykształcenia, dajcie kobiecie czysto utylitarny kierunek, a przedewszystkiem nauczycielki, znajdujące dziś głównie chleb w rodzinach obywatelskich, zostaną bez dachu i bytu; dalej zaś połowę pism polskich z góry zamknąć można, bo ich nie będzie miał kto czytać wcale, wątpię zaś, aby szanowna autorka, przez sam wzgląd na wła-

sny interes, pragnęła podobny stan rzeczy przyspieszyć.

Przypominamy przytem fakt, tysiącem przykładów stwierdzony, iż miasto ze względów wyczerpującego siły i nerwy życia, rzadko nader daje nam wielkie talenty lub geniusze. Wśród kwiatu też inteligencyi, jaką błyszczy, połowa z pól i siół przyniosła soki swe żywotne i zdolności. Policzmy imiona kobiet, któremi literatura i sztuka nasza chlubi się w tej chwili, a zobaczymy iż trzy czwarte ich ze wsi pochodzi, lub na wsi dotąd mieszka. Jeżeli mnie pamięć nie myli, szanowna autorka sama do tejże niegdyś należała kategoryi. Gdyby więc za młodu nie była marnotrawiła pieniędzy na naukę sztuk i literatury, piśmiennictwo nasze zostałoby znów zubożone o talent wybitny.

Nie jedyna to wreszcie ostateczność, do jakiej nas rzeczony artykuł nakłania.

„Gospodarze wiejscy — mówi on — noszą zwykle długie buty, kożuszki i t. p., co nie przeszkadza im w danym razie włożyć fraka, tak samo gospodynie do pracy swojej ubrać się powinny, w chłopski, krótki, mało przemakalny wełniak i grube obuwie. Pojęcia jednak fałszywej estetyki tak są rozpowszechnione, iż przywdzianie podobnego stroju, samo przez się staje się ważną przeszkodą w pracy, a niejedna matka załamałaby ręce widząc córkę ubraną w ten sposób, córkę wyglądającą na chłopkę ect."

Niech mi „Przegląd" daruje, druga to wszakże ostateczność, zdradzająca zupełną nieznajomość stosunków wiejskich, a dozwolona tylko w referatach, pisanych za zielonym stolikiem. Szanowna autorka ma racyę, żadna matka nie pozwoli, by córka jej przywdziała strój chłopski, gwoli smażeniu konfitur i kwaszeniu korniszonów, które to zajęcia, pani Marenowa przedstawia nam, jako jedyne lekarstwo na dotychczasową bezczynność panien wiejskich, jako źródło bogactwa, mogące w czasie ciężkiego kryzysu, stać się ostoją ich i podporą. Zaprawdę, ileż tu krańcowości i ile mrzonek, z imaginacyi czerpanych? Protestując obecnie przeciwko odbieraniu nam sztuk pięknych i cywilizowanego ubioru, który bądź co bądź, cząstkę nas samych stanowi i, zapewniając szanowną autorkę, iż od lat pięciu prowadzę czynnie i samoistnie gospodarstwo dochodowe, a dotąd ani razu chłopskiego lub męzkiego kożucha i butów na sobie nie miałam, sprobuję, jeżeli Redakcya „Tygodnika" pozwoli, dowieść w następnej notatce, do czego owo zalecane smażenie konfitur u nas prowadzi i jakie pozytywne przynosi rezultaty.

Jedna z młodych gospodyń.

Ruda, d. 10 Maja 1890 roku.

HONOR ARTYSTY

HONOR ARTYSTY.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Nie można zaprzeczyć, że w długiej przemowie baronowej ukrywała się część prawdy, lecz panna de Sardonne nie była tak praktyczną osobą, aby jej miała przyznać słuszność. Zrozumiała jednak całą doniosłość fałszywej życzliwości, źle tajonej urazy, oraz podstępnej i okrutnej dyplomacyi, z jaką obmotała ją złośliwa kobieta, aby ją zmusić do najboleśniejszej w życiu ofiary. Od jakiegoś czasu nadzieja zaczęła wstępować w serce biednej dziewczyny, nie mogła się bowiem mylić co do postępowania margrabiego de Pierrepont, który grzeczny lecz chłodny w obec innych panien, otaczał ją zawsze szacunkiem i okazywał czułą niemal troskliwość. Nawet niepokój baronowej i jej obłudna przezorność były jednym dowodem więcej, że usposobienie margrabiego wydawało jej się podejrzane i że w sercu Beatryksy niepłonna zbudziła się nadzieja.

Teraz jednak była już związana, nietylko słowem danem baronowej, ale droższemi dla niej względami majątkowej pomyślności, człowieka, którego kochała i którego dobrobyt lub ruinę, trzymała teraz w swych dłoniach. Zanadto dobrze znała charakter pani de Montauron i dlatego nie wątpiła ani na chwilę, iż wypełni co do joty swoją groźbę i wydziedziczy synowca, jeżeli ośmieliłby się zawrzeć związek, niezgodny z jej wolą.

Nieszczęśliwa dziewczyna ujrzała się w położeniu bez wyjścia; przyciśnięta ogromem rozpaczy, lękając się próby przechodzącej jej siły, zaczęła prosić Boga, aby oddalił od niej to, czego tak gorąco pragnęła, a mianowicie, aby ukochany przez nią człowiek, nie obdarzył ją swą miłością.

Ale ona wiedziała, że była kochaną... Margrabia de Pierrepont dopiero po długiej wewnętrznej walce poddał się tajemnej miłości, jaką czuł dla panny de Sardonne. Od pierwszego dnia olśniła go jej piękność, a nieszczęśliwe położenie przejęło litością i dlatego też margrabia starał się uniknąć uczucia, z powodu którego mógł doznać wiele przykrości i narazić się na niejedno niebezpieczeństwo. Ale obowiązkowa grzeczność względem ciotki dozwalała mu często widywać Beatryksę, a urok i wdzięk jaki roztaczała, zniweczył dobre jego postanowienia. Namiętność potęgowała się w nim zwolna i stopniowo doszedł do tego usposobienia umysłu i serca, w którym mężczyzna widzi na całym świecie jedną tylko godną uwielbienia kobietę. Aby wyznać całą prawdę, nie możemy twierdzić napewno, żeby marzenie wywołane w duszy margrabiego de Pierrepont postacią pięknej lektorki, miało odrazu na celu małżeństwo.

Nie dowodzi to bynajmniej, aby margrabia miał być nieuczciwym człowiekiem; ale żył dużo w świecie i obracał się w kółkach, gdzie występki w miłości nie bywają sądzone zbyt surowo. Namiętność jeszcze ma odrębne swoje argumenta i wtedy, gdy idzie o kobietę, można śmiało powiedzieć, że żaden mężczyzna nie jest prawdziwie szlachetnym człowiekiem. Przeczuwając, że ciotka nie potwierdzi jego uczuć, gdyż niweczyły one wszystkie jej plany, mógł tworzyć w duszy zamiar igrania z miłością młodej dziewczyny. Ale poczucie honoru zwyciężyło namiętność i po walce, miłość zapłonęła gorętsza i bardziej czysta niż przedtem.

Wzorowe postępowanie Beatryksy, takt jaki okazywała na każdym kroku, przykre i drażliwe położenie jakie w nieszczęściu stało się jej udziałem, poruszyły wreszcie najszlachetniejsze uczucia w sercu margrabiego. Ta piękna kobieta doświadczona i uszlachetniona przeciwnościami losu, poważna, piękna i czysta, była właśnie istotą o jakiej marzył, aby zajęła miejsce przy jego domowem ognisku i stała się opiekunką jego honoru i poezyą jego życia.

Przedłużony pobyt margrabiego w Genêts i codzienne przebywanie obok panny de Sardonne, potęgowały z dniem każdym jego miłość do tego stopnia, że mógł stać się nieposłusznym nietylko dowodzeniom rozumu, ale prostego interesu i wyrachowania.

Interesem zaś margrabiego de Pierrepont było, iść w kwestyi małżeńskiej ślepo za życzeniami ciotki, opór w tym razie byłby poprostu szaleństwem. Margrabia nie łudził się wcale pod względem swego położenia, co nadawało charakter jeszcze bardziej dramatyczny walce, jaką już od kilku miesięcy staczał w jego duszy rozum z namiętnością. Rozum mówił mu, że jeżeli ulegnie uczuciu i zawrze małżeństwo z miłości, może stracić łaskę i szczodrobliwość ciotki, a w przyszłości bogatą po niej sukcesyą. Zresztą majątkowe jego położenie zmuszać go będzie do bardzo przykrych poświęceń. Nie był on ani dziecięciem, ani człowiekiem lekkomyślnym i wiedział co to kosztuje żyć w świecie. Lubił wszystkie wytworne rozrywki, jakich dostarcza Paryż: teatra, wyścigi i przepych. Ożeniwszy się bez posagu, trzeba było wyrzec się większej części tych kosztownych zabaw, a co było jeszcze przykrzejsze, pozbawiać tych rozkoszy żonę. Czy kochali się dość silnie, aby zobopólna czułość wynagrodziła im wszystkie braki w teraźniejszości i materyalne zawody w przyszłości? Niekiedy zdawało się margrabiemu, że dla dwóch istot szczerze się kochających, podobne ofiary nie będą rzeczą zbyt trudną; to znowu myśl o zmniejszeniu budżetu osobistych wydatków, konieczność wyrzeczenia się rozmaitych upodobań, beznadziejna przyszłość i widok nieszczęśliwej żony, powstrzymywały go w chwili wypowiedzenia stanowczego słowa.

W trzy dni po rozmowie z panią de Montauron, w której może przez nieuwagę, a może rozmyślnie zdradził swą tajemnicę, margrabia de Pierrepont udał się po południu do swej sąsiadki wicehrabiny d'Aymaret. Zastał ją na werandzie przed domem, zajętą czytaniem książki. Mali jej synkowie, ładne dzieciaki z płowemi włoskami, bawili się, robiąc baby z piasku.

— Mój Boże! co się stało?—zawołała, gdy Pierrepont przysunął się do niej witając. — Jesteś pan taki blady i zmieniony... Czy spotkało cię jakie nieszczęście?

— Broń Boże!—odparł, śmiejąc się margrabia.— Tylko mam do pani prośbę wprawiającą mnie w kłopot. Czy mogę porozmawiać z panią w miejscu bezpiecznem, gdzieby nas nikt nie mógł podsłuchać?

Młoda kobieta spojrzała na niego ze zdziwieniem i ciekawością zarazem i podnosząc się z krzesła, rzekła:

— Chodźmy do salonu.

Pierrepont poszedł za nią w milczeniu.

— Czy mogę zamknąć okna? — zaczął tym samym co poprzednio tonem.

— Ma się rozumiéć — odparła.

Margrabia zamknął okna i siadając opodal niej, rzekł:

— Gdy powiedziałem pani podczas naszej przejażdżki łódką, że wolałbym przyjąć żonę z twojej ręki, nie chciałaś pani wziąć na siebie tej odpowiedzialności... Ale jednocześnie zdawało mi się, że rozumiem, iż z ust pani o mało nie wymknęło się wtedy nazwisko osoby...

— Być może...

— Powiedz mi je pani teraz!

— Za nic w świecie!

— Nawet gdybym panią prosił, abyś ofiarowała moją rękę, swojej przyjaciołce Beatryksie?

Pani d'Aymaret spojrzała mu badawczo w oczy.

— Czy mówisz pan seryo? — szepnęła.

— Zdaje mi się, iż jesteś pani przekonaną, że nie żartowałbym w podobnej kwestyi —odparł z powagą.

Piękna twarz młodej kobiety rozjaśniła się wyrazem niekłamanej radości. Podniosła się żywo z krzesła i z przytłumionym okrzykiem szczęścia, chwyciła za rękę margrabiego.

— Szlachetny z pana człowiek — rzekła

— A więc, droga pani, mogę liczyć, że podejmiesz się mojego poselstwa?

— Naturalnie — odparła z ożywieniem.

— Czy pani, która jesteś poniekąd jej powiernicą, nie przeczuwa w jaki sposób przyjętem zostanie moje poselstwo?

— Muszę panu otwarcie powiedzieć, że jeżeli Beatryksa ma jakie serdeczne tajemnice, nie powierzała mi ich nigdy... Ale, wnosząc z rozmaitych danych, byłabym niesłychanie zdziwiona, gdyby prośba pana nie została przyjętą.

— Wie pani zapewnie, że nie jestem bogaty? — zaczął nieśmiało Piotr.

— Dla niej, ubogiej dziewczyny, jesteś pan nim aż nadto, a zresztą—tu pani d'Aymaret urwała nagle, a po chwili dodała jeszcze:

— Co ciotka pańska mówi o twem postanowieniu?

— Nic... dla tej prostej przyczyny, że nie wie o niczem.

Pani d'Aymaret podniosła się żywo z krzesła.

— Ależ to bardzo ważna rzecz, kochany panie! Opór z jej strony, to niesłychanie wielka przeszkoda...

— Może być tylko przykrość, ale nie przeszkoda. Upewniam panią, że nie postępuję nierozważnie i że jestem gotów, cokolwiek staćby się mogło, do wypełnienia zobowiązania, jakie pani w mojem imieniu uczyni.

— Odgadłeś pan zapewnie oddawna, że najgorętszem mojem życzeniem było widzieć cię połączonym węzłem małżeńskim z Beatryksą... ale jestem tak szczerą twoją przyjaciołką, że muszę się jednak zapytać, czy zastanowiłeś się pan dobrze nad wszelkiemi, możliwemi następstwami twego postanowienia?

— Przewidziałem już wszystko, droga pani... Ma się rozumieć, że ciotka, która miała inne względem mnie projekta, będzie się z początku gniewać na mój wybór... Jednakże mniemam, że ma trochę przywiązania do mnie, a szczególniej do nazwiska, którego jestem ostatnim przedstawicielem... Mam więc nadzieję, że zwolna przekonam ją i uzyskam jej zezwolenie na moje małżeństwo z panną de Sardonne. Chociaż nie kryję tego przed sobą, że mogę nietylko obecnie, ale i w przyszłości utracić jej łaski... Kłamałbym mówiąc, że bez przykrości wyrzekam się nadziei bogatego po niej spadku, ale cierpiałbym bez porównania więcej, gdybym musiał wyrzec się szczęścia, jakie mi obiecuje związek z przyjaciołką pani... Niczego więcej nie pragnę, jak tylko żeby podzielała moje uczucia i żeby przyjmując moją rękę, uczyniła to jedynie dla wartości mojej osoby, a nie przez ułudę wielkiego majątku, który nam obojgu może się z rąk wyśliznąć... Czy mogę liczyć na panią, że nie pozostawisz jej pod tym względem żadnego złudzenia?

— Możesz pan być tego pewnym.

— Powtarzam raz jeszcze, że mój osobisty majątek jest bardzo skromny i pragnę, aby panna Beatryksa wiedziała o tem.

— Zdaje mi się, że dla Beatryksy mniejszą niż dla pana, wartość będą miały wszystkie te szczegóły — rzekła z uśmiechem pani d'Aymaret. — Prawda, że ona także lubi elegancyę i wytworność, jak każda wielka dama... ale właśnie wielkie panie najłatwiej w razie potrzeby umieją zastosować się do mierności i skromnego bytu... Pozwól mi pan jednak pomyśléć nad tem trochę...

Tu pani d'Aymaret wsparła piękną głowę na dłoni i po długiej chwili milczenia, z podnieconym na licu rumieńcem spytała margrabiego, czy przyjąłby bez wstrętu zajęcie, mogące przynieść mu jakiś dochód?

— Mam krewnych i przyjaciół w wielkich finansowych przedsiębierstwach — dodała — i mogłabym wyrobić panu zajęcie, wymagające więcej prawego charakteru, niż specyalnych wiadomości.

— Dziękuję pani za życzliwe zajęcie — odparł też rumieniąc się — i chętnie skorzystam z protekcyi pani.

— Kiedy życzysz pan sobie, abym pomówiła z Beatryksą?

— Jak najprędzej, droga pani, proszę o to... wyznaję pani, że dopóki nie uzyskam pewności, będę żył w śmiertelnej trwodze... Widzi pani, że stawiam na jedną kartę całą moją przyszłość... jest to dla mnie prawdziwie uroczysta chwila w życiu... i pomimo słów zachęty ze strony pani... nie mam wielkiej nadziei... jakaś nieograniczona obawa wstrząsa mną do głębi duszy!

— Jeśli tak — przerwała, śmiejąc się wicehrabina — postaram się rozmówić z nią jutro.

Kończąc te słowa podeszła do biurka i szybko skreśliła słów kilka:

„Najdroższa! chciałabym się widzieć sam na sam z tobą. Mam ci coś do powiedzenia. Jutro o dziesiątej zrana przyjdę do ciebie. Ściskam cię.

Eliza."

Poczem oddała bilecik margrabiemu i umówiła się z nim, że wychodząc od Beatryksy, spotka go w parku de Genêts.

Wróciwszy do zamku, Pierrepont wypełnił natychmiast polecenie wicehrabiny, przesyłając Beatryksie wiadomy nam bilecik. Młoda dziewczyna przeczytała go szybko i nie dostrzegła w nim nic nadzwyczajnego, nic coby go wyróżniało od zwykłych liścików, jakie prawie codzień otrzymywała od przyjaciołki. Lecz wieczorem, gdy Piotr spytał ją, czy odebrała bilecik, który jej przyniósł od pani d'Aymaret, Beatryksę zadziwił wyraz pomieszania, malujący się na twarzy i w oczach margrabiego.

— Czy pan był dziś u pani d'Aymaret? — spytała.

— Byłem... i rozmawialiśmy nawet długo i z zajęciem...

— Czy tak? — spytała — i o czemże? jeżeli wolno zapytać.

— O pani — odparł z wymownem spojrzeniem margrabia.

Beatryksa nic nie odrzekła i oddaliła się zwolna; czuła się bliską omdlenia, ogarnęło ją nagłe przeczucie prawdy. Zdawało jej się, że piorun upadł u jej nóg, olśniewając ją światłem błyskawicy i odurzając potrosze.

Najprzykrzejszem jej zajęciem było czytać baronowej wieczorem, nieraz do późnej nocy, aby ją do snu ukołysać. Następnie lektorka sama udawała się na spoczynek, lecz tej nocy zasnąć nie mogła. Wiele razy czytała i rozmyślała nad bilecikiem pani d'Aymaret, coraz więcej utwierdzała się w przekonaniu, że będzie narażona na najokropniejszą w życiu próbę, jaką jej zagroziła przed kilku dniami przemowa pani de Montauron. Trwoga jej i niepokój wzrastały z każdą chwilą.

A więc to była prawda! Człowiek, który od tylu lat był jedynym celem jej myśli i marzeń, którego ukochała całą siłą swego dziewiczego serca; człowiek ten, wbrew wszelkiem oczekiwaniom, miał ją prosić o rękę, którą z zaufaniem i miłością pragnęłaby złożyć w jego dłoni; a jednak zmuszona jest odmówić mu, jeżeli nie chce przekroczyć obowiązków sumienia i honoru, nietylko względem siebie, ale i względem ukochanego! Czyż pani de Montauron nie uprzedziła jej, że wychodząc zamąż za niego, doprowadzi go do ruiny? Nie mogła nawet wyznać mu dlaczego mu odmawia, nie mogła uczynić tego bez złamania danego słowa. Wyznaniem zmusiłaby niejako szlachetnego człowieka, aby przez poczucie honoru wystąpił do walki przeciw ciotce, z którejby musiał wyjść zwyciężony!

W tak głębokiem utrapieniu, zwykła modlitwa nie wydała jej się wystarczającą, aby wybłagać siłę u Tego, który jest jej źródłem. O świcie wyszła więc z zamku i przez łąki zwilżone rosą, udała się do parafialnego kościółka, którego wieżyczki sterczały po nad lasem. O tej porze kościół był zupełnie pusty. Beatryksa upadła na kolana i pochylając czoło ku kamiennej posadzce, modliła się i płakała z rozpaczliwą gorliwością męczennicy, gotującej się do ostatniej ofiary.

Wracając, zatrzymała się nad brzegiem rzeki i ukląkłszy nad wodą, zmoczyła chustkę i obmywała nią długo twarz, aby zniszczyć na niej ślady łez i bezsennej nocy.

W dwie godziny później pani d'Aymaret weszła do jej pokoju z rozpromienionym wzrokiem. Po serdecznem powitaniu, Beatryksa zaczęła pospiesznie:

— Dziwna rzecz, jaka między nami panuje jednomyślność... Skoro wczoraj odebrałam twój bilecik, miałam właśnie pisać do ciebie, prosząc cię, abyś mnie odwiedziła dziś rankiem... Chciałam cię prosić o jedną przysługę.

— O przysługę? — powtórzyła pani d'Aymaret, siadając obok niej.

— Tak jest... Zdaje mi się, że znasz dobrze księdza proboszcza de Saint...

Tu Beatryksa wymieniła nazwę jednej z większych parafii w Paryżu.

— Księdza D.? — spytała wicehrabina. — Znam go bardzo dobrze; to mój spowiednik.

— Zdaje mi się, że on jest przeorem Karmalitanek przy ulicy Denfer?

— Zdaje się, że tak — potwierdziła coraz bardziej zdziwiona pani d'Aymaret.

— Może będziesz tak dobra i napiszesz parę słów polecających mnie jego uprzejmości. Chciałabym poznać się z nim lepiej.

Twarz pani d'Aymaret okazywała pomieszanie i zdziwienie. Spojrzała z niepokojem w oczy Beatryksy.

— Czyżbyś myślała przypadkiem...? spytała wahająco.

— Wstąpić do zakonu Karmelitanek? — dokończyła za nią Beatryksa. — Tak jest, myślę o tem oddawna... Zdaje mi się, że najlepiej zrobię opuszczając świat, tak dla mnie bezlitośny... Przebacz mi, najdroższa, że wcześniej nie mówiłam ci o moich zamiarach... Ale są kwestye w których radzić się można tylko samej siebie; skoro się zasięga czyjej rady, gdy idzie o odwagę lub powołanie, dowodzi to tylko, że się nie posiada ani pierwszej, ani drugiego.

— Ależ na miłość Boga! moje biedne dziecię, powołanie twoje wypływa tylko ze zniechęcenia i rozpaczy! — zawołała pani d'Aymaret. — Prawda, że życie jakie wiedziesz obok twej fałszywej dobrodziej-

ki, jest straszną męczarnią, tem gorszą, że nie przedstawia nadziei polepszenia... Ale jeżeli jabym ci przyniosła nietylko nadzieję, ale pewność szczęśliwej przyszłości, życia bez trosk i zmartwienia, cobyś mi na to odrzekła?... Mówiłam ci, że mam do ciebie polecenie... może zechcesz wysłuchać?

— I owszem, mów moja najdroższa; ale cokolwiek mi powiesz, nie zmieni to w niczem mego postanowienia...

— Unieszczęśliwisz tym sposobem szlachetnego człowieka... Mówię tu o margrabi de Pierrepont, który kocha cię z całego serca i prosi cię o rękę.

Beatryksa zwróciła na przyjaciołkę dziwne, jakby obłąkane spojrzenie.

— Boże! Boże! — szepnęła głuchym, stłumionym głosem.

— No i cóż, najdroższa, czyż to nie lepsze jak klasztor? — rzekła pani d'Aymaret, ujmując jej rękę.

— Jak widzisz słowa twoje wzruszyły mnie głęboko — odpowiedziała młoda dziewczyna — ale nie chcę pozostawić cię w błędzie co do przyczyny mojego wzruszenia... Wypływa ono jedynie z zadziwienia i wdzięczności... Martwi mnie to niewymownie, że muszę odrzucić wspaniałomyślną prośbę pana de Pierrepont i honor, jakim mnie zaszczyca... Ale powiedziałam ci już, że przyzwyczaiłam się oddawna do innych myśli i uczuć... i nie mogę się zmienić tak nagle.

— Sądziłam, że twój zamiar wstąpienia do klasztoru, nie jest jeszcze postanowieniem nieodwołalnem.

— W istocie... muszę się jeszcze dobrze nad tem zastanowić.

— A zatem, pozwolisz abym powiedziała margrabiemu, że się jeszcze zastanowisz... i że nie powinien wyrzekać się nadziei?

— Jeślibyś to powiedziała, wprowadziłabyś w błąd margrabiego.

— Jakto, czy nawet wtedy, gdybyś nie miała zamiaru wstąpić do klasztoru, odmówiłabyś mu swej ręki?

— Nie inaczej, moja droga.

— Ależ to niepodobieństwo! — zawołała pani d'Aymaret. — Ty kochasz kogoś!

Beatryksa milczała.

— Kochasz kogoś? — powtórzyła pani d'Aymaret, nie domyślając się męczarni na jakie skazywała swoją przyjaciołkę.

— Być może — szepnęła Beatryksa.

— Kochasz bez nadziei? — badała dalej wicehrabina.

Głęboki smutek odmalował się na twarzy Beatryksy, niezdolna zdobyć się na słowa, twierdząco skinęła głową.

— Czy nie mogę wiedzieć kogo?

— Proszę cię, Elizo, nie nalegaj napróżno!

— Bardzo dobrze — odparła młoda kobieta, podnosząc się z żywością z krzesła. — Może byłam niedelikatną, ale przyzwyczaiłaś mnie do większego ze swej strony zaufania! Do widzenia, moja droga — dodała jeszcze i zwróciła się ku drzwiom.

— Nie uściśniesz mnie nawet? — rzekła biedna Beatryksa.

— Jak najchętniej! — zawołała pani d'Aymaret, której gniew prysnął w jednej chwili.

Pobiegła żywo do Beatryksy i zarzuciła jej ręce na szyję. Złączone serdecznym uściskiem, obie rozpłakały się szczerze, szepcząc sobie do ucha zapewnienia przyjaźni. Beatryksa prosiła pani d'Aymaret, aby dla ważnych powodów, nie mówiła nikomu z wyjątkiem margrabiego, o jej zamiarze wstąpienia do klasztoru.

Pani d'Aymaret wyszła z zamku i zwolna zaczęła iść ku domowi, szukając w głowie sposobu, jakimby mogła złagodzić cios, który miała zadać margrabiemu. Po długim namyśle postanowiła położyć nacisk na powołanie Beatryksy do klasztoru i ukryć w cieniu tajemnicze jej przywiązanie, do którego się nawpół przyznała. Spostrzegła wkrótce margrabiego przechadzającego się w alei, gdzie naznaczyła mu spotkanie. Młody człowiek przybliżył się szybko, a przeczytawszy wyrok w zmienionej twarzy młodej kobiety, zapytał chłodno:

— Odmowa? nieprawdaż?

Ona uścisnęła go silnie za rękę.

— Nie ma w niej jednak nic ubliżającego dla pana — odparła z gorączkowem ożywieniem — nic coby mogło poniżyć twoją godność... przeciwnie... biedna dziewczyna była do łez wzruszona tem, co nazywa, pańską wspaniałomyślnością... Ale ona ma zupełnie inne zamiary... chce wstąpić do zakonu Karmelitanek. Wierzaj mi pan, że usłyszawszy to niemniej byłam zdumiona od pana... wiedziałam, że Beatryksa jest szczerze pobożną, ale nie przypuszczałam, aby była dewotką... Widać, że to nędzne życie jakie wiodła przy twojej nieznośnej ciotce, przebacz mi pan to wyrażenie, usposobiło ją do mistycyzmu!... Przyrzekłam jej do czasu dotrzymać tajemnicy, czyniąc pod tym względem wyjątek dla pana... Twoja ciotka nie będzie się posiadała ze złości, że ją utraci... a Beatryksa zawiadomi ją o swem postanowieniu dopiero w ostatniej chwili; lęka się bowiem jakich przeszkód z jej strony... A teraz, mój drogi panie, jeżelibym mogła udzielić panu jednej rady...

Tu pani d'Aymaret przerwała nagle mowę, spostrzegłszy przerażającą bladość margrabiego. Zatrzymała się nawet na ścieżce i dotykając zlekka jego ramienia, małą, w obcisłą rękawiczkę ujętą rękę, dodała?

— Sprawia ci to wielką przykrość, mój przyjacielu, nieprawdaż?

— Całe moje życie rozpada się w nicość! — rzekł Pierrepont ze smutnym uśmiechem. — Przebacz mi pani, że nie mogę zapanować nad sobą... nigdy nie zapomnę twojej dobroci... Czy jesteś pani pewna, że Beatryksa chce wstąpić do klasztoru?

— Prosiła mnie, abym ją poznała z proboszczem de S..., który jest przełożonym zakonu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TEKI TETRYKA.

* **Brak taktu.** Kiedy Mierzwiński wydobył ze swej piersi wysokie *Cis*, rzadko w gardle tenora spotykane, sprawozdawcy muzyczni wznieśli hymn pochwalny, a słuchająca publiczność przy gromie oklasków, obdarzywszy utalentowanego śpiewaka tytułem króla tenorów, nazwała wielkim, świecącym jak brylant nad całą ludzkością.

Dotąd z godności tej jeszcze go nie zdetronizowano, choć przesadna a w wielu razach nawet na śmieszność narażająca.

Kiedy Matejko zyskał rozgłos i uznano go malarzem i twórcą szkoły polskiej, w Warszawie radząc jak go przyjąć w razie przybycia do stołecznego grodu, chciano go od dworca kolei do hotelu zaciągnąć w powozie własnemi rękami wśród światła kagańców i radosnych okrzyków.

Byłaby to znów śmieszność, na szczęście nie doszła do skutku.

Tytułu mistrza w sztuce malarskiej nikt mu jeszcze dotąd nie zaprzeczył, ale w bałwochwalczem uwielbieniu i przyznawaniu nieomylności cokolwiek się powstrzymano, tak nawet dalece, że obecnie w ocenie utworów p. Chełmońskiego, malarza bardzo utalentowanego, jemu jedynie przyznano utworzenie szkoły polskiej, o Matejce zaś niezrobiono najmniejszej wzmianki, jakby do grona artystów nigdy nie należał.

Naganna to stronność. Pan Chełmoński pomiędzy malarzami zajął chlubne bardzo miejsce, jest samoistnym, nawet swojskim, ale żeby był twórcą szkoły to przyznać trudno.

Wprawdzie temata do pracy czerpie z kraju przeważnie, ale i Kostrzewski temu tylko zawdzięcza sławę jaką zdobył, a jednak nie zowią go mistrzem nieomylnym ani na twórcę szkoły nie namaszczono.

Kiedy ogłoszono przybycie fortepianisty Reisenauera do Warszawy, zaraz pochwały gry jego sypnęły się z wielką szczodrością, a gdy wystąpił publicznie i zagrał, pochwałom nie było końca.

Powiedziano, że podobnego fortepianisty jeszcze jak świat światem nikt nie słyszał; że łączy w sobie wszystkie przymioty Rubinsztajna, Liszta, Tausiga, Padarewskiego i innych i że w fortisimach huczy jakby grzmotami piorunów a w pianach szepcze tonami komarowego brzęku, słyszanemi jednak wyraźnie i jasno w całej teatralnej sali. O trylu rozpisano się także bardzo szeroko, podnosząc go pod same niebiosy, jakby jakie cudowne cacko dotąd nikomu nieznane.

Przeciw takiej ocenie gry Reisenauera, wystąpił w „Głosie" p. An. Sygietyński, starając się przeciwnie dowieść, że chwalący cudzoziemskiego artystę krytycy: pp. Kleczyński, Poliński, Ciechomski, Bogusławski i t. p., na muzyce się nic nie znają i nic nie umieją i że Reisenauer gdyby odczytał i zrozumiał uważnie wszystko co o nim napisano, dostałby pomieszania zmysłów. Przedewszystkiem nie wiedziałby czem jest a czem nie jest, czy nowym prorokiem fortepianu, czy zwyczajnym grajkiem, któremu czasami to i owo udaje się a czasem nie udaje, czy jest olbrzymem czy tylko efekciarzem czyli... szarlatanem.

Według niego bowiem, talent ma widoczny, ale technikę zmanierowaną występami na prowincyi a bezczelną śmiałość w traktowaniu przez nogę publiczności, kompozytorów i fortepianu.

Co się jednak u nas z krytyką muzyczną wyprawia, powiada dalej pan Sygietyński, najlepszym dowodem jest sprawozdanie z koncertu, pomieszczone w „Tygodniku Illustrowanym":

„Reisenauer, czytamy w nim, ma swoją indywidualność. Instrument pod jego palcami przekształcony, odzywa się ślicznem *cantabile*, płynącą jedną falą dźwięku, to światła, to barwy, która mieni się, rozjaśnia, mroczy, odbija w sobie to blaski to zmierzchy, przybiera lekką przezroczystość mgły albo miękkie tło chmurki, na którem w subtelnych konturach snuje się motyw. Jest-to rysunek promieniem na obłoku. Potem obłok przysłania mgła, zasnuwa tę jasność, wszystko zlewa się, kłębi i wzajemnie na wskroś przenika, a ucho wsłuchane w tę kompozycyą bez nazwy odgłosów, przestaje już rozróżniać melodyę od harmonii i nie pragnie zgoła tego rozróżnienia."

W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! — woła pan Sygietyński — nic nie rozumiem!

Rzeczywiście trudne to zadanie, ale i to trudno zrozumieć, jak jeden i ten sam fortepianista, może być przez jednych uznawany za mistrza niezrównanego, a przez pana Sygietyńskiego za dobrego tylko wirtuoza a właściwie za zręcznego jedynie... szarlatana.

Pismo też humorystyczne „Mucha", podsłuchawszy tej szermierki słownej, zapaśników wzajemnie się poniewierających i szkalujących, tak się odezwało w ostatnim numerze:

Przyjechał Reisenauer, grał na fortepianie,
I przysięgłe krytyki chwaliły to granie,
Aż na owych krytyków znalazł się znów krytyk,
Co do ich znawstwa tonów brzydki zrobił przytyk,
I dziś o niego cała kłóci się krytyka,
A szwab zgarnał monetę, jak zemknął tak zmyka.

✻ **Korsarstwo literackie.** Czytamy w „Przeglądzie Tygodniowym” a raczej w jego echach, co następuje: *Jeszcze jeden!* pod tym zaciekawiającym tytułem podano w jednym z pism brukowych wiadomość, że w roku bieżącym jeszcze do kilku istniejących już kalendarzy humorystycznych, przybywa jeszcze jeden p. t. „Facetka”. Po przeczytaniu tej wiadomości, zastanowiliśmy się głęboko nad smutnym faktem, jak to u nas przyswajają się bez ceremonii cudze pomysły. Od lat trzech wychodzi w mieście naszem kalendarz p. t. „Facet”, wydawany przez redaktora „Muchy” p. W. Buchnera (Ner-Buch) i przyjęty od pierwszego zaraz roku przez prassę i czytelników jako szczęśliwy zwrot w kierunku kalendarzy humorystycznych. Nie było w nim nic, coby obrażało dobry smak, był ten szczery a przytem elegancki dowcip, który bawi a nie wala. I ten to tytuł pochwyciło dwóch pomysłowych panów, a przerobiwszy płeć kalendarza, pragną wejść w bezpośrednią, nizką konkurencyę z „Facetem”, wyzyskując dla siebie jego dobre strony i nabytą już popularność. Pomijając samą nieprzyzwoitość w nazwie „Facetka”, gdyż o ile nazwa facet znamionuje tylko eleganta, o tyle facetka znaczy zupełnie co innego, czegóż można się spodziewać od wydawcy i redaktora, którzy rozpoczynają swą działalność, od przyswojenia sobie cudzego pomysłu?

Słuszną tę uwagę w zupełności podzielamy.

TEORYA RĘKAWICZNICTWA.

PRZEZ

Natalię Smólską.

W tych dniach wyszła z druku broszurka pod powyższym tytułem. Autorką takowej jest przełożona Zakładu naukowo-rękodzielniczego dla kobiet przy ulicy Święto-Krzyzkiej, o którym niejednokrotnie mieliśmy sposobność wspominać, już to z powodu otrzymania przez takowy srebrnego medalu za wzorowe prowadzenie nauk, już to z tego powodu, że to jest jedyny zakład w którym kobietom wykładają buchalteryę w dzisiejszych czasach, tak dla nich potrzebną i korzystną.

Broszurka o której mówimy, jest jasnym dowodem tego, iż rzemiosło w ręku inteligentnych, doskonale się rozwija i oswobadza z zapleśniałej a tak szkodliwej dla postępu rutyny: Autorka „Teoryi Rękawicznictwa” nietylko że potrafiła ująć w stałe regóły, dotąd jedynie praktycznie i rozmaicie podawane w warsztatach wskazówki, ale nadto wyrozumowała je, objaśniła źródło terminologii rękawiczniczej z różnych języków wziętej, a tak poprzekręcanej, że się jej pochodzenia i domyśléć niebyło można; wreszcie mniej lub więcej udatnie stworzyła terminologię Rękawiczniczą polską. Na 45 stronicach druku p. Natalia Smólska zwięźle ale bardzo jasno przy pomocy rysunków, skreśliła całą manipulacyę kroju, szycia i tresowania rękawiczek, zaznajomiła z gatunkiem skór używanych w tym rzemiośle i z niezbędnemi narzędziami.

Niech więcej takich osób jak Autorka weźmie się tylko do rzemiosła a z pewnością nasz stan rzemieślniczy wyzwoli się bardzo prędko z dotychczasowej szorstkości i zastoju, dojdzie do doskonałości i samopojęcia tak szczęśliwie rozwijającego się, ale niestety! tylko zagranicą.

Teoryę Rękawicznictwa tedy, jako mającą bardzo wiele zalet, gorąco polecamy tym wszystkim, którzy obrali sobie zawód rękawiczniczy.

WIADOMOŚCI Z ROŻNYCH STRON.

Wiosna w samym rozkwicie! Mamy upał skwarnego lata, ogrody i skwery w porządku, kurz najzwyklejszy, czereśnie zagraniczne, majówki liczne, do tramwai wieczorami trudno się dostać a na odpust do Częstochowy tak liczne podążały tłumy, że trzy kasy nie mogły nastarczyć cisnącym się do nich tłumom. Oto mniej więcej obraz obecny z życia warszawiaków z otwarciem teatrzyków ogródkowych, rozpoczynających dopiero życie prawdziwie letnie. Oby przeszło jak najweselej!

✻ **Smutny wypadek** zdarzył się 15 b. m. w dzień Wniebowstąpienia na Odrze pod Turzem na Szlązku pruskim. Łódź przewożąca kilkadziesiąt osób, w większej części dzieci, pochodzących z miejscowości Budzisk, Siedlisk, Ruda i Turze, a wracających z kościoła ze Słowikowa, przewróciła się blizko brzegu przeciwnego, przytłaczając ciężarem swoim pasażerów. Ludzie, stojący na brzegu, z którego łódź odbiła, przyglądali się bezczynnie katastrofie, niemogąc nieść pomocy nieszczęśliwym; na brzegu zaś, do którego łódź przybijała, niebyło dokoła żywej duszy. Tylko przewoźnik i 6 osób zdołało się uratować, 42 dzieci zas, dwie dorosłe dziewczyny i kobieta, matka pięciorga nieletnich dzieci utonęły. Do wieczora odnaleziono tylko 11 zwłok; 31 jeszcze brakuje. Wina strasznego nieszczęścia spada na przewoźnika, Franciszka Czogali, który zamiast silnego promu wziął łódkę o wiele dla takiej znacznej liczby pasażerów za słabą. Czogala został aresztowany i odprowadzony do więzienia.

✻ **Nowy sport** wynaleźli sobie dla przepędzenia czasu Anglicy, przebywający w Genewie. Urządzają oni wyścigi piesze, które się odbywają według tych samych prawideł, co konne, nie brakuje nawet totalizatora. Przyjmujący udział w wyścigach dżentlemeni mają specyalne ubrania i swoje barwy, dla ułatwienia publiczności zakładów, nadto muszą być zważeni i są w razie potrzeby obciążani odpowiednim ładunkiem; posiadają także swój specyalny tor i starterów. Podobno wkrótce damy, zachęcone tą rozrywką, mają również brać czynny udział w wyścigach.

✻ **Kolonie letnie dla biednych słabowitych dzieci**, urządzone w roku ubiegłym staraniem i przy współudziale ludzi dobrej woli i pragnących przyczynić się do wszystkiego, co tylko dobro ogółu ma na celu, tak pod względem liczby dzieci wysłanych, jak i pod względem rezultatów dla ich zdrowia przeszły wszelkie oczekiwania. Dzieci biednych, schorzałych, skrofulicznych i na rozmaite sposoby niedomagających, wysłano 417, czyli o 121 więcej, niż lat poprzednich! Do licznych protektorów i protektorek instytucyi naszej, o których corocznie sprawozdanie wspomina, przybył w r. z. p. Karol Dittrich, który dwudziestu czterem chłopcom naszym udzielił w Żyrardowie gościnności, wziąwszy na siebie całkowite utrzymanie.

Po czterotygodniowym pobycie powrócili oni z lepszem zdrowiem, wzmocnieni na siłach i odporniejsi na wszelkie przeciwności, jakie ich w życiu czekają.

Bliższe szczegóły zeszłorocznych kolonii letnich podane są, jak corocznie, w oddzielnie wydrukowanem sprawozdaniu.

Wobec jasnego słońca i pogodnego nieba, jakie z nastaniem wiosny nam przyświecają, zbudziła się w sercach ubogich dzieci naszego miasta nadzieja, że i w tym roku dobrzy ludzie o nich nie zapomną i z hojniejszemi ofiarami podążą, żeby im tak jak corocznie od lat 9 dać użyć świeżego powietrza, swobody wiejskiej i pokrzepić wątłe ich siły.

Nie wątpimy, iż nadzieje te ziszczone będą, tembardziej, iż rok bieżący zapowiada się świetniej niż poprzedzające pod względem miejscowości, które na rzecz naszych kolonii ofiarowane zostały.

D-r G. Fritsche.

✻ **Bogata dziedziczka.** W zeszłym tygodniu przejeżdżała przez Warszawę, udając się za granicę, panna Polakow córka znanego finansisty russkiego. Bogata dziedziczka, której fortunę posagową obliczają na 15 milionów rubli, w zewnętrznem swem zachowaniu okazuje wiele prostoty i skromności.

Jakkolwiek zajmowała ze swem otoczeniem oddzielny przedział klasy I-ej, jednakże tak ubiorem swym, jak i znalezieniem nie wyróżniała się niczem od innych pasażerów.

— Czy to prawda, panie nauczycielu, że ludziom tylko się zdaje, iż mają rozum, a istotnie mają go tylko zwierzęta?

— Któż ci to powiedział?

— Moja matka.

— Wiesz co, że dobrze się zastanowiwszy, to matka twoja musi być bardzo rozumna kobieta, i kto wie czy w tym razie nie ma słuszności. Czyż to mało jest ludzi żyjących jak zwierzęta, a zwierząt zawstydzających ludzi czynami wcale nie zwierzęcemi.

* * *

W morskich kąpielach.

— Szkoda, że przez czas naszego tu pobytu, morze zawsze spokojne, a jabym tak pragnął zobaczyć je wzburzone.

— Wrzuć w nie tylko — odrzekła żona — ostatnią notatkę swą o kwocie przegranej w karty, to zaręczam, że się natychmiast wzburzy, jak ja się wzburzyłam tym dowodem twej lekkomyślności i marnotrawstwa.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

✻ **Legomina czekoladowa.** Wziąć trzy suche bułki, utrzyć je na tarce, nalać słodkiem mlekiem i gotować na gęsto, gdy się ta massa wystudzi, wziąć tabliczkę czekolady, utrzyć ją i zmieszać z bułką, dodać do tego cukru do smaku, 6 żółtek i ubitą pianę z pozostałych białek; wymieszać wszystko dobrze i włożyć w rądel, dobrze poprzednio wysmarowany masłem i wysypany bułeczką. Następnie wstawić do pieca i spróbować słomką, tak jak każde ciasto, czy już upieczona.

LOGOGRYF.

Wyrazów 17. Litery początkowe składają imię i nazwisko znanego pisarza polskiego, stałego współpracownika „Przyjaciela Dzieci”, końcowe zaś jeden z większych jego utworów.

Sylaby: Ja-no-La-rze-I-wa-Jo-Szu-Dy-gar-O-by-E-Mo-e-Ko-zu-War-strze-I-ty-ty-Sko-sza-Ne-za-cen-me-mitr-ski-Wrzos-wro-jasz-reb-lej-O-nek-to-ku-Ka-Ub-zys.

Znaczenie wyrazów.

1. Jedna z pór roku.
2. Samogłoska i spółgłoska.
3. Imię samozwańca ruskiego.
4. Miasto nad Wisłą.
5. Imię proroka.
6. Słowiańskie plemię.
7. Bogini zemsty mitologiczna.
8. Mało używane imię.
9. Miejsce wiecznej kary.
10. Znaczna przestrzeń wody.
11. Pies myśliwski.
12. Plemię żyjące w północnej Syberyi
13. Ciecz używana do oświetlania i jedzenia.
14. Roślina leśna.
15. Ptaszek zwiastujący wiosnę.
16. Spółczesny malarz.
17. Wódz izraelski.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Dobre rozwiązanie logogryfu i rebusa nadesłali panowie i panie: Emilia Korzepczyńska, Marya Cieszkowska, Karol Wojczal, Sz. Wroncka, Zofia Skupieńska, Kazimiera Karśnicka, Henryka Czyżewska, Walentyna Marya Kulczyńska z Tomaszowa, M. Zajdel z Łęczycy, Stanisława Nestorowiczowa z Pasynek, Czesław Switzyn z Kowna.

P. L. w Ż. Redakcya za dobre chęci serdecznie dziękuje, ale jak obecnie korzystać z nich nie może, gdyż działy literackie wszystkie ma zajęte.

Panu Kazimierzowi Boleszczycowi. Do tłomaczenia powieści, Redakcya ma stałe Redaktorki wyłącznie tem się zajmujące, nowych więc zobowiązań przyjmować nie może.

☞ Do dzisiejszego N-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Dostać można we wszystkich składach i magazynach.

Skład w Warszawie Gęsia Nr 16/18.

NAJLEPSZE i NAJTAŃSZE
NEWSKIE NICI DO SZYCIA

CZARNE, BIAŁE I KOLOROWE

i BAWEŁNA SZYDEŁKOWA (Crochét)

we wszystkich kolorach

NEWSKIEJ FABRYKI NICI

w St.-PETERSBURGU.

Skład w Łodzi Piotrkowska Nr 102.

Produkcya dzienna pół miliona szpulek. 113—2—13

FABRYKA KAPELUSZY SŁOMKOWYCH

J. KOŁODZIEJSKIEGO,

w Warszawie, Leszno Nr 4.

Na sezon letni zaopatrzona w modele świeże i wybór duży po cenach nader umiarkowanych. Z czem się poleca Szanownem Paniom. 83—6

69—4—4 UCZENNICA PANI BOSZ

A. KÓŹMIŃSKA

ma zaszczyt zawiadomić, że przeniosła

MAGAZYN MÓD

z ulicy Ś-to-Krzyzkiej na Plac Ś.go Aleksandra Nr 13 i poleca na sezon bieżący wielki wybór kapeluszy, podług najnowszych fasonów paryzkich.

Ceny umiarkowane.

58—5—6

Specyalny Magazyn i Pracownia

OKRYĆ DAMSKICH I DZIECINNYCH

S. LEWI

w Warszawie,

Marszałkowska 114 (róg Złotej).

Został sowicie zaopatrzony na sezon bieżący w wielki wybór okryć damskich najświeższych żurnali paryzkich i wiedeńskich. Posiada również wybór materyałów, osobiście wprost z fabryk zakupionych, z których wykonywa wszelkie obstalunki.

CENY MOŻLIWIE NIZKIE.

Nagrod. Medal. FABRYKA BANDAŻY Nagrod. Medal.

A. STRAUS,

w Warszawie, Nowy-Świat Nr 57.

Poleca najtaniej: bandaże rupturowe, pasy brzuszne, nerkowe, gorsety do prostego trzymania się i t. p.

104—3—6 Dla dam obsługa kobieca.

GORSETY

Joanna Kleniewska,

w Warszawie, Nowy Świat Nr 70.

Wielki wybór gorsetów, specyalne fasony oraz obstalunki wykończa w 24 godzin. 80—4—4

Fabryka Kwiatów Paryzkich

E. KLOTT

111—3—3 W WARSZAWIE,

ulica Wspólna Nr 34.

Aprobowany przez Radę Lekarską m. Warszawy

CRÈME DIVINE

nadaje twarzy **świeżość, młodość i delikatność,** jest niezbędnym a nieszkodliwym środkiem, przeto winien znajdować się na każdej toalecie. **Wyłączna sprzedaż** w Laboratoryum **K. Rajmunda, Nowy-Świat Nr 15, wejście od Jerozolimskiej,** w Warszawie. 47—9—10

FABRYKA RĘKAWICZEK

C. SCHOLZ.

Vis a vis teatru ***Wierzbowa Nr 7.***

Wierzbowa Nr 7. Naprzeciw teatru

Poleca wielki wybór rękawiczek damskich i męzkich, glansowanych duńskich, **Derby** oraz reniferowych, najpraktyczniejszych dla sportsmenów. **Nadto poleca** specyalne dla amazonek rękawiczki reniferowe ze sztylpami. **Magazyn** zaopatrzony w wielki wybór krawatów najświeższych fasonów, oraz perfum i przyborów toaletowych.

Ceny nader przystępne.

Wierzbowa 7.

WAŻNE

Kto chce mieć bieliznę wypraną dobrze i elegancko wykończoną. Kto chce być pewnym jej nieuszkodzenia pod każdym względem. Niech powierzy takową mnie, a będzie mieć sumiennie i uczciwie wykonaną Bez żadnych dodatków palących i niszczących.

SENATORSKA Nr 10. (W domu gdzie magazyny W-nych Hersego i Penkali).

Specyalna Pralnia Koronek, Firanek i Bielizny LEONARD. 50—5—6

Z dniem 20 b. m. otworzyłem Zakład Fryzyerski
SPECYALNIE DAMSKI,
oraz MAGAZYN PERFUMERYJNY

przy ulicy Wierzbowej Nr 1,

pod firmą

EUGENJUSZ.

103—3—3

Długoletnia moja praktyka w tym zawodzie i gruntowna znajomość fachu, są rękojmią, że nowy ten zakład odpowie wszelkim wymaganiom **Szanownej mej Klijenteli,** która zaufaniem i życzliwem popieraniem zaszczycała mnie jako pierwszego damskiego fryzyera w firmie „A. Lipink".

BIURO NAUCZYCIELSKIE ZAŁĘSKI,

w Warszawie, MAZOWIECKA Nr 16.

Rekomenduje Nauczycieli, Nauczycielki, Bony sprowadza z zagranicy.

51—7—25

Czysta 6. Czysta 6. Czysta 6.

KAPELUSZE

słomkowe dla dam, mężczyzn i dzieci, ubierane i bez ubrania w wielkim wyborze (40 nowych fasonów) poleca

Wiedeńska Fabryka Kapeluszy

Marcelego Wilden'a

MARSZAŁKOWSKA Nr 141 lub ZIELNA Nr 36.

Kapelusze do prania, przerabiania i fasonowania, przyjmują się. 107—4—4

Mam honor zawiadomić Sz. Publiczność, że moje renomowane

Fabryki Parasoli i Pluszu

nagrodzone medalami na wystawach w Moskwie i Rydze, obecnie przy ul. **Nalewki Nr 15** istnieją, polecam łaskawym jej względom wielki wybór parasolików damskich najmodniejszych oraz dziecinnych, w najlepszych gatunkach, za bardzo przystępne ceny. Znaczny zapas pluszu wełnianego na okrycia damskie w najpiękniejszych deseniach i najlepszych gatunkach, po cenach bardzo przystępnych.

L. SZYLDKRET. 109—3—4

57—5—5

SPECYALNY

MAGAZYN UBIORÓW DZIECINNYCH

Szynele i Mundury dla Uczni

S. PRZEZDZIECKIEGO

W WARSZAWIE,

ul. Kotzebue Nr 2 (róg Wierzbowej).

Magazyn przyjmuje zamówienia na garderobę męzką oraz Damskie Okrycia.

Wykończenie gustowne. Ceny umiarkowane.

Bandaże rupturowe, Suspensorya, Woreczki hygieniczne, Gąbeczki ochronne, Irrygatory i t. p., poleca „najtaniej" magazyn optyczny JULJANA DREHERA w Warszawie, Szpitalna Nr 6. 77—4

Magazyn sukien, okryć i kapeluszy damskich

105—3—6 ***T. WEJSEL,***

w Warszawie, Hr. Berga Nr 2.

Poleca na sezon bieżący wybór kapeluszy damskich, oraz przyjmuje wszelkie obstalunki, pranie i przerabianie kapeluszy. Ceny umiarkowane.

---

30 PIĘKNA 30

NA SEZON BIEŻĄCY

przysposobiła Warszawska Fabryka Lodowni pokojowych następujące wyroby:

Lodownie pokojowe, Konserwatory do przechowywania lodów, **Maszyny** do robienia lodów, **Maszyny** do wyrobu masła, **Maszynki** domowe do lodów, **Prasy** do wyciskania soków z owoców, różnej wielkości, **Magle** pokojowe. **Hamaki** najnowszego systemu, **Drabinki** pokojowe i ogrodowe, **Waterklozety** i inne wyroby gospodarstwa domowego.

81—4—6

Ceny umiarkowane. Handlującym znaczny rabat.

Cenniki na żądanie wysyłają się gratis.

30 PIĘKNA 30

KAUCYONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE K. SOTKIEWICZOWEJ

w Warszawie, Plac Zielony Nr 13.

Rekomenduje Nauczycieli, Nauczycielki i Bony, tylko z kwalifikacyami.

46—8—12

Дозволено Цензурою, Варшава, 17 Мая 1890 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **Emila Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 26.

Dodatek.

Tygodnik Mód, 1890 r. Ubiory i roboty. Dodatek do N-ru 22.

Opis do N-ru 22.

N. 1. Ubranie podróżne. Patrz rycina 25 w N. 23. Krój N. I.

Podszewka przodów długiego gładkiego stanika kraje się podług figury 1 z dwoma zaszewkami i zapina środkiem przodu na haftki; w zwierzchnim materyale figura 2, przody mają tylko po jednej zaszewce, linia kroju oznacza formę lewej połowy przodu idącej pod spód a linia cienka prawą połowę zachodzącą na wierzch i zapiętą z boku na wielkie guziki. Boczki przednie krajane są krócej od tylnych na które zachodzą brzegiem, przypięte guzikami (patrz rycina 25 w N. 23); plecy spuszczone w dość długie karoczko fałdowane. Rękaw figura 6 zakończony mankietem figura 7, zapiętym na guziki; kołnierzyk kraje się w całości podług figury 8 i zapina z boku na haftki. Figura 9 daje wymiar zwierzchniej spódnicy upiętej na podszewkowej, długa linia kropkowana przy 285 oznacza środek przodu, krótsza przy 50 środek tylny; brzegi boczne zachodzą z lewego boku na siebie przy gwiazdce i zapięte są dużemi guzikami. Z prawego boku założona głęboka fałda między 193 i 245, zastębnowana wzdłuż linii kropkowanej a zapięcie jest tylko naśladowane. Tylne bryty złożone na środku w kilkoraką kontrafałdę, przód zaś w trzy głębokie fałdy zachodzące na siebie, dwie zwrócone w jedną stronę a trzecia w przeciwną. Linijki kropkowane pół okrągłe oznaczają głębokość zachodzenia fałdów.

N. 2. Płaszczyk podróżny. Patrz rycina 22 w N. 23 Tygodnika Mód. Krój N. III.

Lekko wpadający do figury, praktyczny bo całkowicie zasłania ubranie od deszczu lub kurzu; przody krajane w jednym ciągu z boczkami, zapięte na dwa rzędy, mają w górze małe ranwersy, przypięte guzikiem. Plecy złożone w fałdę i tylne boczki przyciśnięte paskiem z trzech patek po 14 centymetrów długich, 5 szerokich, zapiętych podług ryciny 22 w N. 23. Na przodach duże kieszenie z klapkami, na rękawach małe. Model ciemno brązowy w paski tylko ostębnowany wokoło, miał guziki rogowe.

N. 3. Ubranie dziewczynki lat 4—6. Krój N. II.

Linia kroju na figurze 10 oznacza podszewkę, linia prosta formę materyału, u góry i u dołu zmarszczonego i przyszytego do podszewki; plecy zapinane na guziki figura 11 są pokryte gładko. Rękawy mają podszewkę gładką, wierzch zaś krajany podług linii cienkiej na figurze 12, zmarszczony u góry i u dołu i wszyte są w pasek 5 centymetrów szeroki, 19 centymetrów długi. Kołnierzyk wszyty od krzyżyka do punktu, zapina się także z tyłu. Spódniczka podszewkowa 30 centymetrów długa, 124 szeroka, u dołu 10 centymetrów szeroko naszyta materyałem, przykryta jest zwierzchnią, 31 centymetrów długą, 202 szeroką, zmarszczoną u góry, zakończoną u dołu 6 centymetrów szerokim obrąbem. Model z ponsowego wełnianego muślinu w biały rzucik miał rodzaj vêtement z ponsowego kaszmiru, ozdobione wyszyciem z białego jedwabiu. Figura 14—15 dają formę vêtement; przymarszczone ramiona przodów i gładkie pleców łączą się od gwiazdki do dwukropka; szwy boczne dane od Y do Z; wykrój pachy i szyi zakończony wypustką. Pasek skórzany $3^1/_2$ centymytra szeroki.

N. 4. Toczek koronkowy bez denka.

Podstawę stanowi pasek sztywnego tiulu z tyłu 5, z przodu 7 centymetrów szeroki, oszyty w górze różową aksamitką 3 centymetry szeroką; zwierzchu pokryty fałdowanym czarnym tiulem chantilly 36 centymetrów szerokim. Przybranie składa się z kokardy koronkowej ułożonej z dwóch kawałków po 11 centymetrów szerokich, 40 długich i z pukli różowej aksamitki, ażeby pukle nie opadały wsuwa się w środek drucik.

N. 6—8. Przybranie do kapeluszy.

Modne obecnie małe i płaskie kapelusze, wymagają także małego przybrania, lecz wprawy i zgrabności w upięciu. Rycina 7 przedstawia dyadem uwity z ponsowych maków i paproci, odpowiedni zarówno do słomkowego lub koronkowego kapelusza. Nowość stanowią motyle koronkowe (naśladowanie valencienne) wyrabiane w różnych kolorach, których korpusik i skrzydełka przewleczone cienkim w jedwab owiniętym drucikiem. Do przybrania służą także chusteczki, barbki, denka koronkowe umyślnie na ten cel przygotowane; rycina 6 przedstawia owalną czarną koronkę chantilly, która przewleczona drucikiem daje się składać w pukle, rozetę, kokardę lub t. p.



N. 1. Ubranie podróżne. Patrz ryc. 25 w N. 23. Krój N. I. N. 2. Płaszczyk podróżny. Patrz ryc. 22 w N. 23. Krój N. III. N. 3. Ubranie dziewczynki lat 4—6. Krój N. II.

N. 9—10. Kapelusz z koronki słomkowej robionej szydełkiem.

Foremkę przygotowywa się z druciku okręcanego jedwabiem i pokrywa tiulem słomkowego koloru; zwierzchnie pokrycie jest z koronki słomkowej robionej szydełkiem z nitki jedwabnej kręconej ze słomką, podług próbki ryciny 10. Do pokrycia foremki trzeba trzech kawałków koronki; rondko wygięte podług ryciny 9 pokryte jest kawałkiem 75 centymetrów długim, z boków danym gładko, na środku z przodu ułożonym w podwójną kontrafałdę 5—6 centymetrów szeroką. Brzegiem koronki przewleczony drucik okręcany jedwabiem; boki główki otoczone gładko kawałkiem 40 centymetrów długim, na denku zaś kawałek 35 centymetrów długi złożony w trójkąt. Przybranie stanowi czarna aksamitka i bukiet kwiatów.

N. 11. Kapelusz okrągły z kwiatami.

Fasonik z ażurowej słomki, z główką 6 centymetrów wysoką z rondkiem z przodu 16 centymetrów szerokiem, z tyłu 5 centymetrów szerokiem i wywiniętem do góry, cały podszyty tiulem jasno cytrynowego koloru. Zwierzchnie przybranie składa się z krepy żółtawej i gałązek róż.

N. 12. Kapelusz okrągły tiulowy.

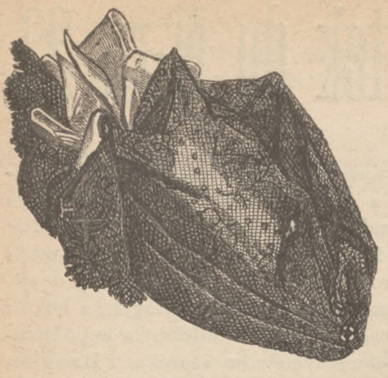
Leciutki fasonik z drutu i gładkiego tiulu, miał główkę 7 centymetrów wysoką; rondko z przodu 12, z tyłu 3 centymetry szerokie. Denko pokrywa się gładko koronką chantilly 13 centymetrów szeroką, na rondku zaplisowaną w fałdy rozsuwające się ku brzegom. Bukiecik z róż i rezedy; kokarda i końce z czarnej aksamitki $3^1/_2$ centymetra szerokiej.

N. 13—16. Pokrycia i laski do parasolików.

Oprócz parasolików strojnych z różnych lekkich materyałów i koronek, do codziennego użytku ciągle używane są parasoliki en-tout-cas. Laski przy nich są 100—106 centymetrów długie a pokrycie jedwabne w rozmaite desenie, które w pojedyńczych kwaterkach przedstawia rycina 13. Widzimy tam cieniowane kwadraty zielone i ponsowe, na tle białem, blado żółtem lub niebieskiem, pasy cieniowane w guście rzymskim, szlaki odmienne przy gładkiem tle lub drobniutkie paseczki przechodzące szerokim pasem przez środek kwaterki. Modna jest także aplikacya koronkowa w rzucik i szlak na tle jedwabnem. Przy laskach dają różne kokardy i rozety; na rycinie 15 widać rozetę z krepy, przypiętą w środku kokardką z wstążki; na rycinie 14 długa kokarda ułożona jest z wstążki repsowej; rycina 16 przedstawia przewiązanie z wstążki 3 centymetry szerokiej ozdobione gałką szmuklerską z kwaścikiem.

N. 17 i 5. Toczek koronkowy.

Podstawa z paska sztywnego tiulu 56 centymetrów długiego złączonego z tyłu, z przodu 7 centymetrów szerokiego, z boków zwężającego się stopniowo, widoczna jest na rycinie 5 i podszywa się od spodu wstążką repsową 3 centymetry szeroką. Denko ułożone z dwóch kawałków wstążki poziomkowego koloru, 9 centymetrów szerokiej, z której dana kokarda z dwóch pukli po 5 centymetrów długich, z końcami równej długości stojących w górę. Barbka koron-



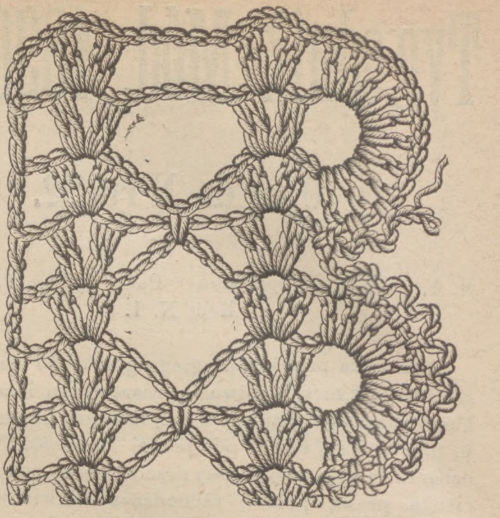
N. 4. Toczek koronkowy bez denka.



N. 6. Koronka do przybrania kapeluszy.



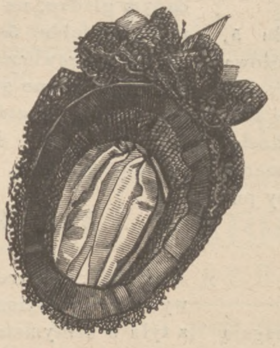
N. 9. Kapotka z koronki słomkowej robionej szydełkiem. Patrz ryc. 10.



N. 10. Koronka słomkowa robotą szydełkową. Patrz ryc. 9.



N. 7 Dyadem z kwiatów do kapelusza.



N. 5. Spodnia strona toczka ryc. 17.



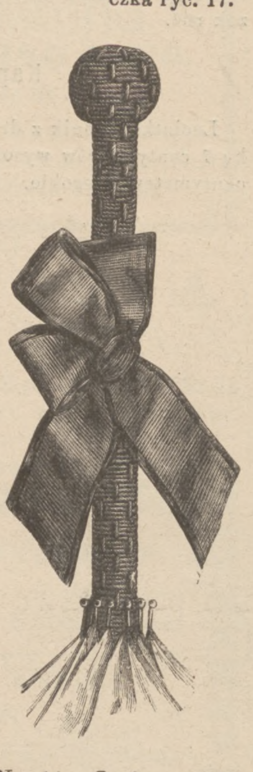
N. 12. Kapelusz okrągły tiulowy.



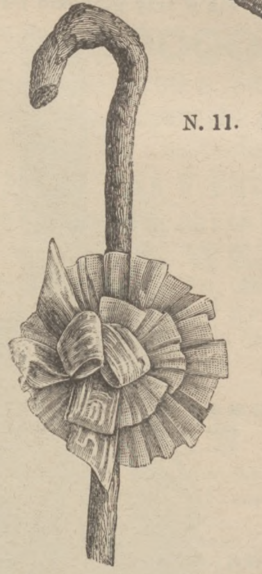
N. 11. Kapelusz okrągły z kwiatami.



N. 8. Motyl koronkowy do kapelusza; kolorowe naśladowanie valencienne.



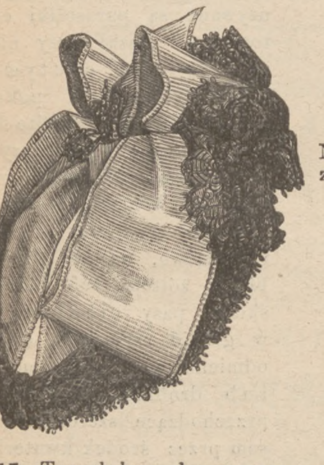
N. 14. Laska oplatana z kokardą repsową do parasolika.



N. 15. Rozeta z krepy, do parasolika.

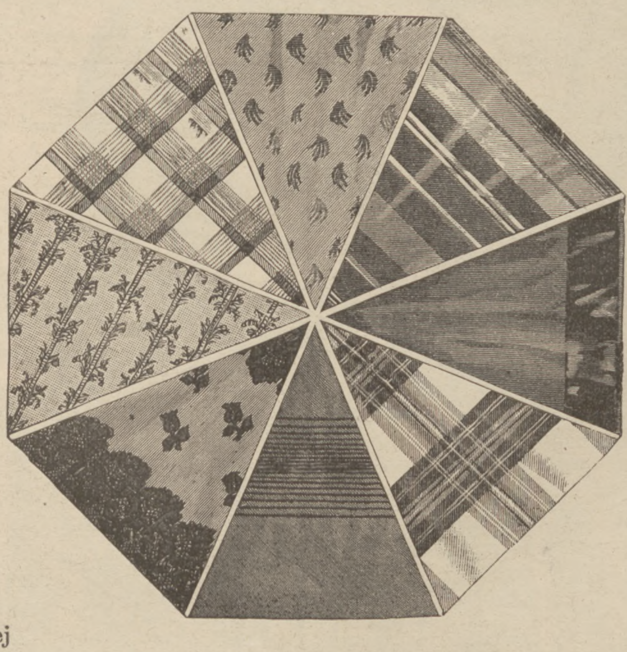


N. 16. Laska przewiązana wstążką, toczona z drzewa polakierowana biało i ozdobiona kolorowym deseniem rococo.



N. 17. Toczek koronkowy z szeroką wstążką. Patrz ryc. 5.

kowa 54 centymetry długa, 12 centymetrów upięta się podług ryciny 5 i 17 wokoło zwierzchu foremki; dwa motylki dżetowe dopełniają przybrania.



N. 13. Różne wzory pokryć na parasoliki.

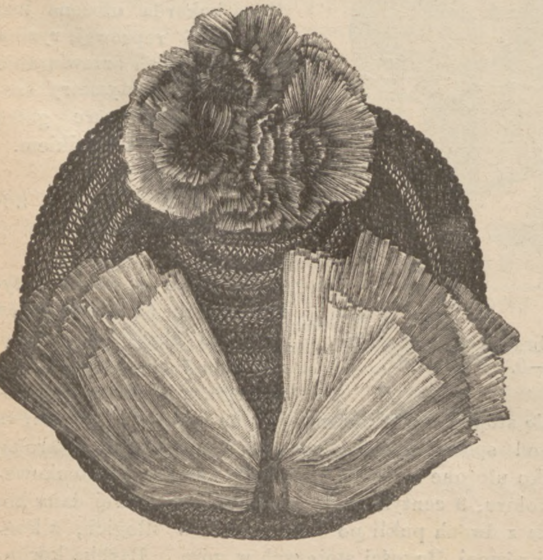
nych, małe krzyżyki złote.

N. 20—21. Przykrycie na poręcz krzesła. Deseń patrz figura 43.

Figura 43 na arkuszu z krojami daje dopełnienie deseniu przedstawionego w połowie na rycinie 21; całość haftu 40½ centymetra szeroka, 72 długa przedstawiona w maleńkim formacie na rycinie 20, jest z boków zakończona obłożeniem z ciemnej materyi a u dołu szeroką frendzlą. Tło pod haft może być jedwabne lub niciane i stosownie do tego haftuje się jedwabiem lub bawełną.

N. 18. Kapelusz z ażurowej słomki.

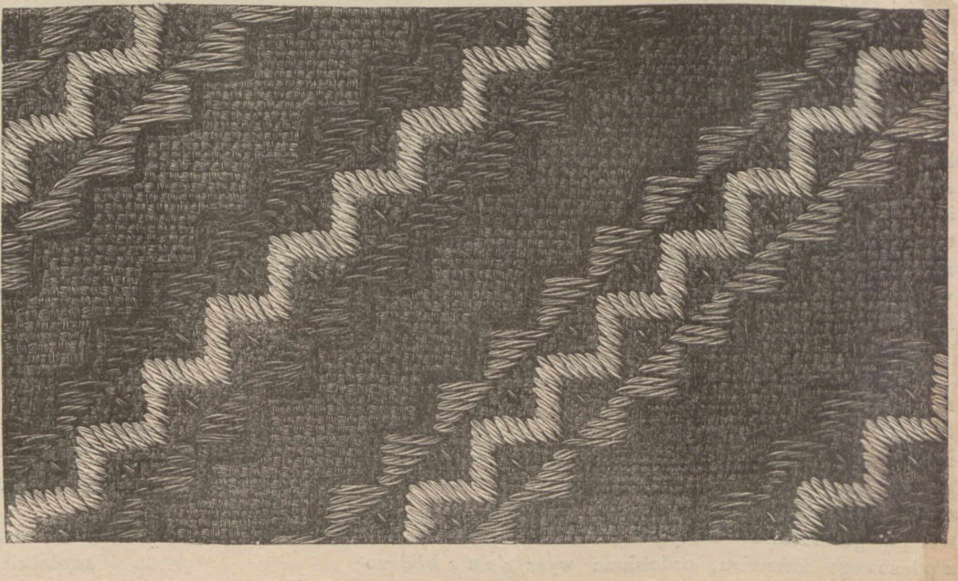
Rycina 18 przedstawia okrągły ażurowy fason z czarnej słomki, z główką 6 centymetrów wysoką i rondem z przodu 15, z tyłu 6 centymetrów szerokiem, podszytem fałdowaną czarną illuzyą. Oryginalną jest kokarda zwierzchnia, zaplisowana z tiulu w dwóch kolorach, łososiowym i czerwonawo lila, na wierzchu zaś denka przypięte trzy wielkie maki. Kokarda składa się z czterech warstw tiulu odmiennego koloru, ściśniętych węzłem aksamitnym.



N. 18. Kapelusz okrągły z ażurowej słomki.

N. 19. Szlak do serwet firanek i t. p.

Rycina 19 przedstawia w połowie naturalnej wielkości szlak wyszyty na kanwie wełnianej żółtawo brązowej, włóczką hamburgską płaskim ściegiem. Pasy wyszyte w ząbki są koloru piaskowego, ponsowego, niebieskiego obwódka z pojedyńczych ściegów czar-



N. 19. Szlak do serwet, portyer i t. p.

Na kontury deseniu zastosowany długi ścieg sznureczkowy do zapełnienia kwiatów ścieg łańcuszkowy krótszy lub dłuższy. Łodyżki i liście są w trzech cieniach zielonych, rozwinięte maki i środki pączków w trzech cieniach ponsowych, zaś mak podług figury 43 jest różowawo lila do cieniu.

N. 22—23. Kapelusz z płaską główką, dla dziewczynki. Krój N. XIII.

Może być z tego co suknia materyału, lub z deseniowego muślinu czy kretonu; główkę podłożoną muślinem kraje się podług figury 75 i fałduje razem z podszewką podług znaczków; w miejscu oznaczonem linijką załamuje się wokoło, aby odznaczyć denko i boki. Na rondko potrzeba dwóch falban wyciętych w zęby, po 155 centymetrów długich, zwierzchnia z przodu 10 centymetrów szeroka zwężona do tyłu na 5 centymetrów, spodnia od



N. 20. Przykrycie na poręcz krzesła. Patrz ryc. 21 tudzież fig. 43.

14 do 7 centymetrów szeroka. Obie złożone jedna na drugą, przestębnowane parę razy i zmarszczone na druciki, podług formy rondka figury 76. Po złączeniu główki z rondkiem, podszywa się główkę białym fularem. Kokardy z aksamitki czarnej dane zwierzchu przy opasaniu główki i pod rondkiem.

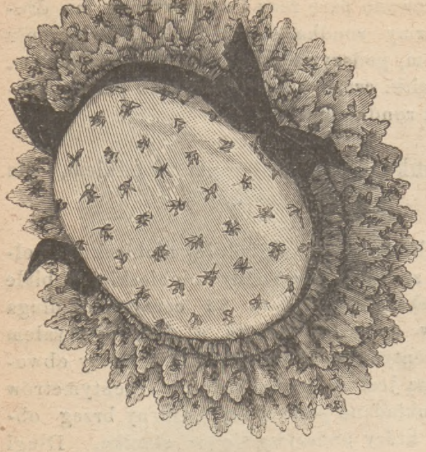
N. 24. Sukienka z kaftanikowym stanikiem, dla dziewczynki.

Stanik kaftanikowy uszyty z gładkiej niebieskiej wełny, kamizelka i spódniczka z wełny niebieskiej w białe paski. Spódniczka podszewkowa 34 centymetry długa 150 centymetrów szeroka, naszyta u dołu materyałem w paski na 12 centymetrów, zwierzchnia 3 metry obwodu mająca ułożona jest w kontrafałdy po 7 centymetrów szerokie, z tyłu układane podwójnie. Górny brzeg objęty paseczkiem, który podszywa się do stanika. Długi



N. 21. Haft do przykrycia na poręcz krzesła. Patrz ryc. 20 i fig 43.

rondko trzeba prostego kawałka 150 centymetrów długiego, z przodu 12, w końcach 8 centymetrów szerokiego, podłożonego białą jedwabną podszewką i wraz z nią wyciętego w ząbki. Górny brzeg falbany marszczy się na trzy druciki podług linii danych na figurze 79. Główkę pokrywa się skośnym kawałkiem i fałduje w górze podług ryciny 25. Przybranie stanowią dwie rozety zmarszczone z dwóch prostych kawałków, po 133 centymetry długich, 8 szerokich, u dołu wyciętych w ząbki. Od spodu rondka kokarda z białej wstążki 1 centymetr szerokiej złożona z ośmiu pukli 6—8 centymetrów długich i końców. Model kapelusza był z ponsowego wełnianego muślinu w białe paski.

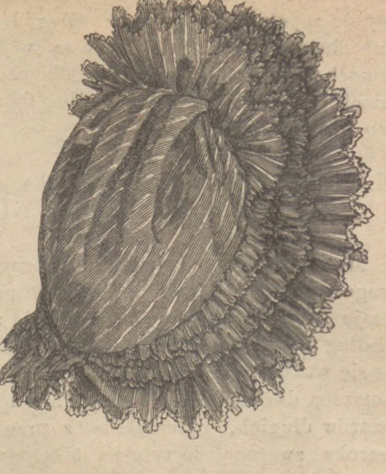


N. 22. Kapelusz z płaską główką, dla dziewczynki. Krój N. XIII, patrz r. 23.

stanik kaftanikowy, powszechnie używany dla dziewczynek, może być włożony na bluzkę bez rękawów, lub też ma tylko dodaną bufiastą kamizelkę, z boku zapiętą. Potrzeba na nią kawałka 40 centymetrów szerokiego, 50 długiego, u dołu ściśle zmarszczonego, pod szyją złożonego w fałdy i wszytego w gładki pasek 6 centymetrów szeroki; podszewka kamizelki jest tylko 38 centymetrów długa, a wierzch u dołu z boków zbiera się w fałdę. Środkiem dana gładka plisa, 25 centymetrów długa, sznurowana jedwabną plecionką. Kołnierz marynarski z ranwersami, mankiety 8 centymetrów wysokie.

N. 25—26. Kapelusz z fałdowaną główką dla dziewczynki. Kr. N. XIV.

Podług figury 77—78 kraje się ze sztywnego tiulu lub merli podstawę główki i oszywa u dołu drucikiem, podobnie jak na zszyciu z rondkiem. Na



N. 25. Kapelusz z fałdowaną główką, dla dziewczynki. Krój N. XIV. Patrz ryc. 26.

zastosowywa się do linii cienkiej oznaczonej przy U. Szew zwierzchni dany tylko do T, niżej zaś rękaw jest otwarty. Okrycie pelerynowe ma tylko falbanę z sukna, naszytą aksamitką, ta falbana (figura 37) wpuszcza się między wierzch i podszewkę jedwabną, wysoko odstaje na ramionach i przymarszcza ściśle pasując gwiazdką do gwiazdki i dwukropkiem do dwukropka. Zapięcie z przodu dane na kryte haftki; u dołu pleców dany pasek zapięty z przodu. Wykrój szyi wszyty w stojący aksamitny kołnierz (figura 38).



N. 23. Kapelusz z płaską główką dla dziewczynki. Krój N. XIII. Patrz ryc. 22.
N. 24. Sukienka z kaftanikowym stanikiem, dla panienki.

N. 26. Kapelusz z fałdowaną główką, dla dziewczynki. Krój N. XIV; patrz ryc. 25.
N. 27. Sukienka z wyciętym stanikiem dla małej dziewczynki.

N. 27. Sukieneczka z wyciętym stanikiem, dla małej dziewczynki.

Uszyta z różowego mohairu, ma staniczek wycięty zapinany z tyłu i króciutkie rękawki na kształt epoletek dopełnione bluzką i rękawami z białego ażurowego haftu. Brzeg wykroju stanika, pasek i dół marszczonej wokoło spódniczki zdobi haficik wyszyty piaskowym jedwabiem.





N. 29. Przód do ryc. 28.

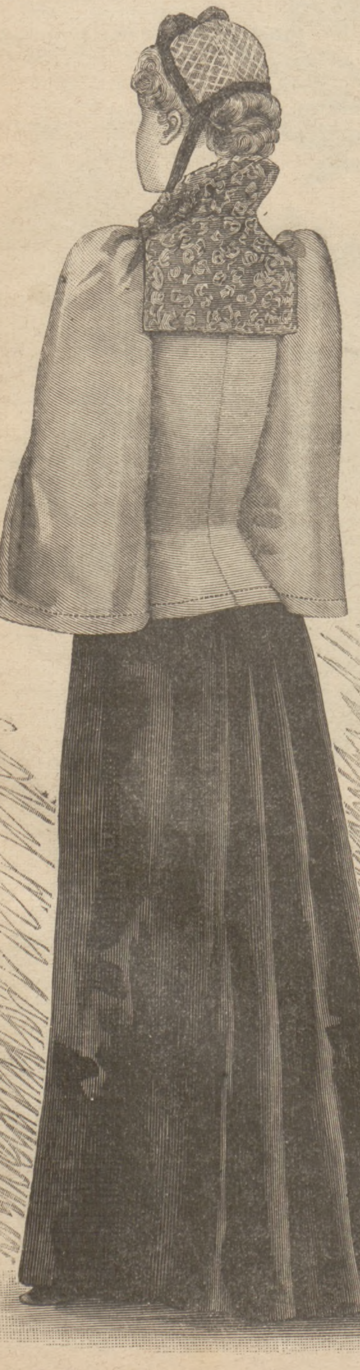
N. 30. Plecy do ryc. 31.

N. 28—29. Okrycie krótkie z karczkiem. Krój N. X.

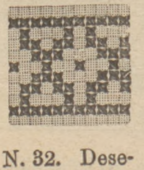
Prosta i łatwa forma okrycia z cienkiego korciku lub dyagonalu zmienia się w zupełnie nową i oryginalną, przez dodanie kwadratowego karczka i wysokiego otwartego kołnierza, ozdobionych haftem lub pasmanteryą. Figura 55 daje wymiar okrycia, którego przody założone są z brzegu w fałdę, zaś fig. 56—57 dają w naturalnej wielkości krój karczka i kołnierza. Po złączeniu karczka z kołnierzem od X do Y podszywa je się materyą. Na wcięciu stanu przyszyta do pleców wstążka do wiązania.

N. 30—31. Suknia z pelerynką. Patrz rycina 14 w N. 23.

Odrobiona z cienkiego sukna i aksamitu niebieskawo popielatego koloru. Aksamit użyty na szeroką plisę u dołu spódnicy gładkiej z przodu, z tyłu ściśle zmarszczonej i na rękawy długo zachodzące na rękę. Trzeba je krajać podług formy figura 53, krająć wierzch podług formy podszewki; dolny brzeg



N. 28. Okrycie krótkie z karczkiem. Patrz ryc. 29. Krój N. X.



N. 32. Desenik do r. 33.



N. 33. Szlaczek sciegiem gobelinowym do sukienki ryc. 30 w N. 23. Patrz ryc. 32.



N. 31. Suknia z pelerynką. Patrz ryc. 30 tudzież ryc. 14 w N. 23. Krój N. V.